STRONA CZYTANA

numer 7/2021

STRONA CZYTANA

Redakcja:

Piotr Borkowicz,

Kamil Galus,

Iwo Sadecki,

Patrycja Sikora

Patryk Zimny

Korekta: Ewelina Krupska, zespół redakcyjny

Oprawa graficzna: Julia Boros

Logo: Jakub Pszoniak

SPIS TREŚCI

WSTĘP 3

POEZJA 4

Adamowicz/Osińska 5

Bielicki 8

Herman 12

Hładun 16

Radwański 16

Kopeć 23

Lebda 26

Leftwich 28

Lewandowska 35

Pielichowski 38

Plich 40

Rosińska 43

Tomaszewski 45

Zagajewska 47

PROZA 49

Janiak 50

Łapczyńska 65

Olejarka 76

Popadiak 78

Sadurska 87

Schilling 90

ROZMOWY NA STRONIE 96

Udawajmy ptaki za lasem, neowieśniaku 97

Rozmowa Patrycji Sikory z Michałem Domagalskim 98

WSTĘP

Za siedem północ

Na wierzchu sekrety, niespodzianki i malinowe pomidory. Lato kończy się w źle skalibrowanych GPS-ach, w podwiniętych na opak roletach, na naskórku już trochę blaknącym i wyprowadzającym gąskę. Gdzie numerów sześć, tak dalej nas czytać.

pg up

Tym razem oddajemy w Wasze ręce (choć może lepiej napisać: na dyski?) najbardziej skondensowany do tej pory zbiór nadesłanych propozycji i zamówionych tekstów. Zauważycie za chwilę, że brakuje krytyki (to zgoła większy problem, bez krytyki), a także wcześniej obecnej rubryki: wolna. Ot, szczelnie spakowana poezja
i proza Was nie zmyli, a *za lasem* wywiad doda esencji.

pg up

Nie będziemy się dłużej rozwodzić nad siódemką, jej symboliką. Dziękujemy Wam za obecność od poniedziałku do niedzieli, zachęcając jednocześnie do dalszej współpracy w pisaniu, czytaniu
i uczynku.

~~pg dn~~

home

Redakcja Strony Czynnej

poezja

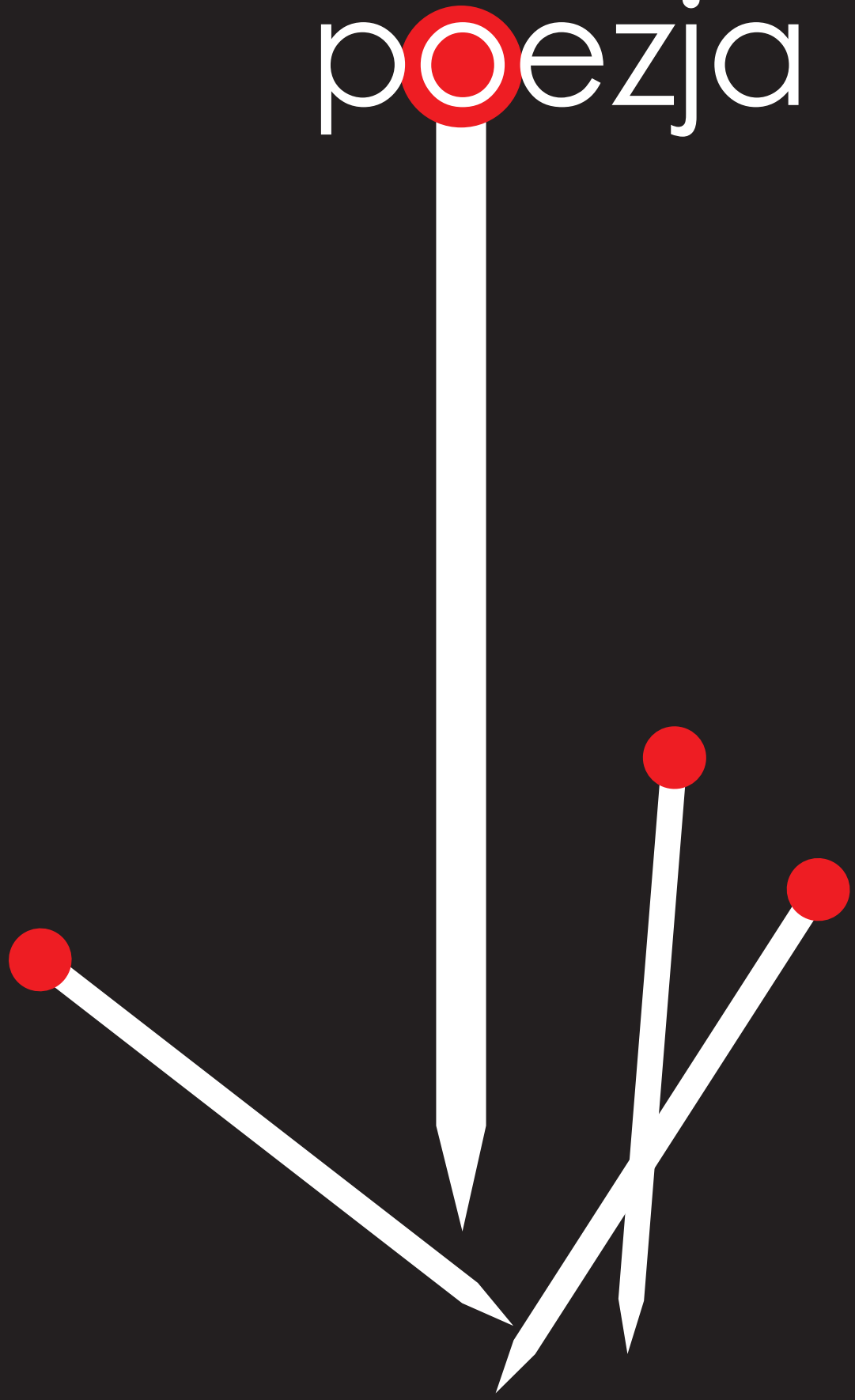

Laura Osińska vel Anna Adamowicz

diagnostka laboratoryjna, poetka, autorka tomów „Wątpia”, „Animalia” oraz „Nebula”. Tłumaczona na języki. Mieszka we Wrocławiu. Pracuje nad czwartą książką.

„Dziewczęta w mundurkach", 1931

przyjmować pocałunki jak komunię
zwracać pocałunki jak komunię

„Portret kobiety w ogniu", 2019

niteczka śliny rozpinająca się
pomiędzy rozłączonymi ustami

Wojciech Weiss, „Pensjonarki na Plantach", 1897

motto z Colette

być pensjonareczką na spacerze na Plantach, tą
plamą bez twarzy w ostatniej parze, ściskać
dłoń koleżanki z klasy odrobinę za mocno.

być pensjonareczką całującą ukradkiem
koleżankę z klasy, odtwarzać w nieskończoność
tę scenę noszoną latami pod szmizjerką,
aż usta odpadną od ciała, zatoną w żywicy.

być pensjonareczką i pensjonareczką umrzeć

Gustaw Courbet, „Śpiące”, 1866

może to sobie zmyśliłam, może mi się przyśniło,
może przeczytałam miałką, ckliwą historyjkę,
ale teraz wplotło się w pamięć i nigdy tego nie wyrwę:

późny ranek, pokój pełen braku ciebie, twoje ciało
kołysane leniwym autobusem oddala się coraz bardziej,
tymczasem ja sprzątam, ścielę łóżko, wtem zamieram:

długo, długo patrzę, to mógłby być obraz Courbeta,
ale nie jest, to są włosy na poduszce, dokładnie dwa,
równiutko splecione ze sobą, mój jasny i twój ciemny.
myślę o tych włosach przez resztę dnia i nocy:

kto nas odróżni, kiedy przefarbujesz się na blond?

Dominik Bielicki

Autor książek z wierszami: „Gruba tańczy” (2008) oraz „Pawilony” (2017). Laureat Nagrody Literackiej Gdynia (2018). Debiutował w Filipince. Mieszka w Warszawie.

Lipiec

Lipiec, chyba mistrzostwa świata.
Kobieta w szlafroku frotte
wchodzi do szpitala
z dużą sumą w staniku.
Prowadzą ją korytarzami.
Dym bucha z ambulatorium.
Lekarze, położne, szkło, okrzyki, orły Górskiego.
Schody, korytarz.
Kładą ją w pustej sali. Nikt się nie zjawia. Krzyczy.
Przychodzi salowa. Nie ma nikogo.
Poprawię pani poduszkę. Ale przecież
słyszę mecz. Ale to w telewizorze.
Proszę wziąć pieniądze
i kogoś przyprowadzić.
Nie musi to być Grzegorz Lato.
Dopiero wtedy.

Coś extra

Zespół De Mono opowiada,
jak powstała piosenka, w której
kapelusze porównywane są do statków na niebie.

Baumgart opowiada o sztuce współczesnej
i swojej kawiarni Baumgart Cafe
w Centrum Sztuki Współczesnej.

Skończyłem odrabiać lekcje.
Telewizor gra w dużym pokoju.
Rodzice w kuchni przygotowują coś extra.

gwóźdź w coli

jeśli wrzucić gwóźdź do coli
to po kilku dniach rozpuści się

lubili powtarzać
lecz o chuj im chodziło?

wystarczy nie wrzucać
wtedy go nikt nie wypije

zdaje się że nie mieli
więcej naboi spokojnie

piję dużo coli
nie jesteśmy gwoździmi

[szczurek...]

szczurek
chomik
bóbr
a nawet
kret

jak wiele zwierząt
miało jak ja
wystające zęby

o ile wierzyć uczniom
starszych klas

ojezus –

wyrwało mi się
w chwili słabości
gdy nie był jeszcze nawet
moim przełożonym
tylko ambitnym seniorem
który przyjeżdża tu
na dwa dni w tygodniu
swoją korolką
– jezusa mi nie tykaj
łypnął tylko poza tym
rozumieliśmy się doskonale
i praca raźno szła do przodu

Anouk Herman

Kłir, anarchol, studenciak, ma trzy łaciate myszki.

paderewa

wielkie różowe słońce plum plum błyska
staje nad paderewą staje jak chuj bożyszcz i to już czas do pracy, będę robić robić aż
przewinie się rolka czasu aż spadnie taśma z maszyny do produkcji zwierząt

zwierzęta futerkowe do futerek
zwierzęta kanapowe do kanapek
zwierzęta gryzoniowe do gryzienia

(możesz się nauczyć nazw zwierząt i zawodów i nigdy
nie nazwać przemysłu śmierci po imieniu
bo umierają tylko ci co mają duszę a filet mignon nie ma)

absent referent oskrobie dziś szczecinę żeby białkowe słońce mogło świecić dalej
nad dachami ujebanymi sadzą przelatuje puszczona w niebo
kurza łapka na sznurku

jadalne lekkostrawne
pełnowartościowe posiłki
wezwać na paderewę
teraz
koszuta z anukiem h.
tysiąckolorowe światełka to powidoki słońc odbite w twoich kształtach
estrogenowe resztki
prażą ich w oczy dlatego tak szybko
odwracają wzrok gdy przechodzisz obok
jak chowasz cycki w przygarbionych plecach
i przerost łechtaczki próbując trochę szybciej
przeciąć im drogę na skrót

wiem już co trzymasz na końcu języczka
ale to jest słabiuśny blotter i dławisz się próbując mówić:
jesteśmy młode wilczki kurwy ja jestem jednym z was

najważniejsze
wypowiedziane wyznanie to te które zrobisz później:
wychodzę z siebie żeby stanąć w lustrze nareszcie całym sobą wypełnić je po ramy ciasno rozmazać rysy twarzy

bo to co widzisz dzisiaj to tylko fenomeny na które nie masz miejsca w rzeczy samej
niech każde twoje słowo stanie się twoim mięsnym ciałem

mikołowska

napiszę dzisiaj list do więzienia
dołożę wlepę
abolish prisons

bo genet śpiący na mikołowskiej przez dwa miesiące też był z katowic to wiele zmienia

co to jest naturalny ruch obrotowy miasta
tarcza na baterie z niedożywionych myszy
biegają w kołowrotkach ciągnąc za sobą
długie ogonki z tramwajów śląskich

w katowicach mieście ogrodów rodzi się matka b. kwietna
matronka tych myszek wyżej i dzienników złodziei
jest karuzelą miasta i wprawia wszystkich w bieg, przez sen mówi jak
święta
natchniona przez duchy:

obecny system więziennictwa jest oparty na sankcjach karach które nic nie dają
trzeba zburzyć więzienia i postawić szpitale
zamiast izolacji intensywna resocjalizacja
reintegracja weganizacja
kontrolowane tripy w bramach osiedli
kadysz

Daryna Hładun

Ukraińska poetka, tłumaczka, badaczka sztuki performance'u. Autorka książek poetyckich „rubaty derewo" i „IŻ TINI KRASYWYCH CZERWONYCH CHŁOPCZYKIW". Uczestniczka międzynarodowych festiwali i rezydencji literackich w Polsce, Litwie, Kanadzie, Francji, we Włoszech i w Ukrainie. Jej wiersze przekładano na osiem języków.

Tłumacz:

Janusz Radwański

Urodził się w 1984 roku. Wydał książki z wierszami: Księga wyjścia awaryjnego (Brzeg 2012), Chałwa zwyciężonym (Olkusz 2013), Kalenberek (Warszawa 2017), Święto nieodległości (2018) oraz dwie książki z przekładami poezji ukraińskiej - Kajfuj, kajfuj (wiersze Pawły Korobczuka - Kraków 2019) oraz Piędź (wiersze Ołeksija Czupy - Warszawa 2020). Ojciec, muzealnik, muzykant w kapelach ludowych i folkowych. Mieszka w Kolbuszowej Górnej.

Institute for Historical Review

1.

[redacted] ZAKŁADY
specjalizują się
w produkcji
[dowolne słowo]
[dowolna fraza]
[dowolna fraza]
[dowolne słowo] 1762 roku
[pauza]
[dowolna fraza]
[dowolna fraza]
[dowolna fraza]
zaczął produkcję
parostatków
[dowolna fraza]
produkcję parowozów
[dowolna fraza]
mostów kolejowych
[dowolna fraza]

[dowolna fraza]
[dowolna fraza]
od 1963 roku zakład
produkuje wózki dziecięce
od 1965 – części
zapasowe do samochodów
od 1982 – małogabarytowe
pralki „[redacted]”
[dowolne słowo]
[dowolna fraza]
w 1998 roku
rozpoczęto
produkcję
międzykontynentalnych rakiet
przeznaczenia strategicznego
«[redacted]»
w 2006 – seryjna produkcja
rakiet systemu
«[redacted]»
w przyszłości zakłady
planują wypuścić

[dowolna fraza]
[dowolna fraza]
[redacted]
a także
[redacted]

falsyfikacji
kilkadziesiąt
periodyków
(zwłaszcza literackich
pism „[redacted], „[redacted]”,
gazety „[redacted]”, „[redacted]”,

2.

wykradowcy historii
co roku zmieniali po
słowie
na jedną stronę
podręcznika
[dowolna fraza]
[dowolna fraza]
[dowolna fraza]
po cztery słowa na
stronę konstytucji
[dowolna fraza]
[dowolna fraza]
[dowolna fraza]
zakładali instytut
przeglądu faktów i

i tak dalej)

organizacji twórczych
i jeden kanał telewizyjny
który podczas protestów
transmituje
balet „Jezioro łabędzie”
[dowolna fraza]
[dowolne słowo]
Ideologiczne środki wpływu
[dowolna fraza]
[dowolna fraza]
[dowolna fraza]
zastąpienia historii [redacted]
historią [redacted]
a potem – [redacted] [redacted]
[dowolne słowo]

więc do tej pory wspominając
XX wiek mówimy
o projektach zagranicznych
działaczy politycznych wprowadzonych
na terytorium państwa
mówimy również o
budowie kolei bajkalsko-
amurskiej
i zajęciu calizn
(do których Ukraina nie
przyczyniła się bezpośrednio)
[dowolna fraza]
[dowolne słowo]
[dowolna fraza]
reprodukujemy zniekształcone
wspomnienia
[dowolne słowo]
Przedrukowujemy
sfałszowane dane o
liczbie ofiar Holokaustu
Hołodomoru
stalinowskich represji

[dowolna fraza]
[dowolna fraza]
[dowolna fraza]
działacze kulturalni wstają przed
wyświetleniem filmu
na znak protestu
przeciwko masowym
aresztowaniom
[dowolna fraza]
demonstrują przeciwko
pobiciu studentów
[dowolna fraza]
występują przeciwko
państwowym zbrodniom
[dowolna fraza]
zgodnie z tajną dyrektywą
wspominamy ich tylko jako
zdrajców
szpiegów
i kontrrewolucjonistów
3.
[dowolna kobieta]

[dowolny mężczyzna]
18+
mówią o wojnie i ślubie
mówią o wojnie
o wojnie
mówią o ślubie
[dowolna kobieta]
[dowolny mężczyzna]
[film przeznaczony
dla widzów
starszych niż]
[dowolny wiek]
(ja poważnie)
[dowolny wiek]
[śmierć
przeznaczona dla widzów
starszych niż]
[dowolny wiek]
Albo
[pokaz śmierci
dozwolony tylko za zgodą
dorosłych]
zaczyna wierzyć w boga
[dowolna kobieta]
[dowolny mężczyzna]
decydują gdzie ochrzcić
nowonarodzoną córkę
[dowolne słowo]
[dowolna fraza]
[dowolna fraza]
po dwóch latach
po podpisaniu deklaracji
niepodległości
otrzymują świadectwo
narodzenia dziecka
starego wzoru
ze starym herbem
ze starą nazwą kraju
wojnę o prawo
do nowej tożsamości
przegrali
[dowolna kobieta]
[dowolny mężczyzna]
nie wymieniają paszportu

do 1995

[redacted]

[dowolne słowo]

[dowolna fraza]

[dowolna fraza]

4.

niedostateczna ilość sprawdzonych
informacji o konfliktach zbrojnych
prowadzi do
[dowolna replika]
[dowolna replika]
[dowolna ja]
[dowolna replika]
wypaczenie postrzegania
wydarzeń
i wagi udziału
poszczególnych ludzi
[dowolna replika]
tak zwany informacyjny szum
[dowolna replika]
w celu manipulacji myślami
szerokich mas społeczeństwa

[dowolna replika]

militaryzacja

poza strefą działań bojowych

[dowolna replika]

szukanie wroga w kimkolwiek

kto różni się od

[dowolna replika]

[dowolna replika]

[dowolna replika]

ten tekst ma również

misję edukacyjną

zapoznania czytelnika

z biografią [imię i nazwisko]

[dowolna fraza]

[imię nazwisko]

urodził się

[imię nazwisko]

umarł

[dowolna replika]

w miasteczku [redacted]

[redacted]

[dowolna replika]

osiem lat młodszy

[dowolna replika]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

tak samo [redacted]

[dowolna replika]

[dowolna replika]

[dowolna replika]

brak sprawdzonych informacji

zniekształca odbiór

rzeczywistości

Wojciech Kopeć

Urodzony w 1998 r. Pochodzi z Tarnobrzega, pisze wiersze. Publikował m. in. w „Stonerze Polskim”, „Tlenie Literackim”, „Śląskiej Strefie Gender”. Na jesieni ukaże się jego debiutancka książka *przyjmę/oddam/wymienię:*.

1

interesuje mnie poezja, ale tylko taka
na poziomie *boss*. naprawdę, zobaczyłem
olbrzymią kanapkę i od razu pomyślałem
o potężnych wierszach z kosmosu. czy jest
jakieś warzywo, które brzmi bardziej kosmicznie
niż fenkuł? wymień dwa, a ja ci powiem,
jakim typem cyborga jesteś. wczoraj ktoś
wyrył na chlebie: SIARKA TARNOBRZEG PANY

2

chleb to coś znacznie więcej niż zwykłe
pieczywo. to wyrabianie bochna staropolskiego,
kiedy gryziesz się z całym światem, ale od rana
muldasz kawałek chrupiącej skórki, jak królowa.

3

dłonie sposobią się do nurkowania. po trzystu
latach znowu ciągnie człowieka do wody,
to krem z wodorostów tak oddziałuje na
umysł. pan pierożek stwierdza, że z rozczapierzonymi
palcami wyglądam jak młoda kunicka, choć moje
myśli są w tej chwili z małymi dorszami.
spod fal wynurza się coś pomiędzy.

5

silniki rakietowe robią *blop*
blop. nasze wyspy to sama
radość: po kilku latach gwizdania
zrobiły mi się dziury na palcach.
na karku mam mleczne zęby.
w tarnobrzegu pytają: jak to jest
dopłynąć do wyspy, która nie ma
dostępu do morza? wpław, wzdłuż,
wszerz? a ja mówię: może trzeba
mieć to po prostu we krwi. wiecie,
wygwizdane na palcach.

Małgorzata Lebda

Urodzona w 1985 roku. Dorastała w beskidzkiej wsi Żeleźnikowa Wielka. Autorka sześciu książek poetyckich, w tym nagradzanych tomów *Matecznik* i *Sny uckermärkerów* (Nagroda Literacka Gdynia 2019), ostatni z tomów *Mer de Glace* ukazała się w tym roku nakładem wydawnictwa Warstwy. Naukowczyni. Fotografuje. Ultramaratonka. Obecnie w trakcie biegu wzdłuż Wisły (od źródeł do ujścia – dystans około 1100 km). Pracuje nad debiutem prozatorskim, którego wydanie zaplanowano na 2022 rok. Mieszka w Krakowie i coraz częściej poza nim.

Pierścienie Saturna

Woda tu drga. Bałtyk wystawił na plażę wilgotny język,
później odciął mu drogę powrotu. Zmierzcha, a tu drga.
Ciało powraca, boso, zimnymi – już – piaskami.

Szczęśliwie wszystko tu jest przed sezonem. Możliwe,
że i ja, ta idąca i inni, istniejemy tak: przed sezonem.
Znaczyłoby to nic innego jak głód. Głód – to co
łakome w nas i najgorsze w tym: to co w nas
nie przyjmuje odmowy.
W najszerszym miejscu plaży, tuż przy linii wody,
mija mnie starszy mężczyzna, przy nodze ma psa,
to czeski szorstkowłosy wyżej. Przystają.
Po chwili mężczyzna mówi do mnie: proszę
spojrzeć na las obrastający klif, drzewa tam
oddają światło z dnia, czy pani to widzi?
Pies podnosi węch.

Patrick Leftwich

Poeta, tłumacz, doktorant, login, [ ], proxy yokai, y2k-survivor, smogcore, deepfake, opiekun lemurów, „*wszystko już jest martwe, jeśli myślenie jako wyprawa umiera wraz ze śmiercią słońca* [ponieważ katastrofa solarna już się wydarzyła]”.

#

#

cyf##ra

#

#

dzień

wrak

bóstwo z jaszczurką w oku

bezwolne opadanie na dno między spalonymi kamienicami

intonuje pieśń własnego pogrzebu

odrywa z chmur fragmenty na elipsie

które zasypują kratery wszystkim co nie jest z przeszłości

nazywasz się apocalypso #

rozmawiasz z nieżywymi głosami

chcesz pocałować swoją młodość ostatni raz

zanim stanie w ogniu

wyjście z niemożliwego miasta

prowadzi ledowym deja vecu

odruchowo rozciągasz wzrok wzdłuż zaklętego korytarza

niestarte tagi

alfabet odchodzi z tynkiem

starożytne biblioteki jeszcze płoną więc nie starasz się odcyfrować

jakie to ma znaczenie

koniec i początek

dziewięć ogonów

#

androgyniczny breivik wraca co generację

skompresowana baśń z tysiąca i jednej nocy

powtarza się na każdym hdd

w środku

kometa z elektronicznego kruszcu

nad glacialnym dancefloorem

przechodzi jak gasnąca parada

miksuje kosmobeat wychłodzonych sylwetek

na skraju

pomyślisz o pożegnaniu

i zostawisz wszystko zimnym ogniom

na tle reszty świata

dziewięć ogonów rozcina ukryty nieboskłon

w szczelinach wypalanego czasu

utleniasz duszę do białej anonimowości

astronomica autonecrofagia

obserwujesz przez teleskop o wymiarach 70 na 140 bpm

dziewięć ogonów splata się wokół komy

precyzyjnie szyje chroniczne dziary

na glazurze z utraty jakości

w labiryntach bez

środka

w zasadzie to chyba ciągle się wahasz #

tylko już stoisz w prześwietlonym kręgu

po twojej szyi spływa szept bez temperatury

możesz w nim zanurzyć twarz

i stracić oddech

słyszysz w kroplach jak tworzą się stalagnaty

jedwabne myśli zawinięte w kokon

nieruchome wodospady

draperie z węglanu wapnia

zastygłe echo wewnątrz krypty deprywacyjnej

czekasz aż na lustrze odbije się dotyk i zabierze cię stąd gdzieś gdzie nikogo nie będzie

ostatni set opada jak martwy dzień

zanim w ogóle miał powód by się zacząć

od kilku godzin

rozładowane twarze rozglądają się za kontaktem

puls rozrzedzony na czerwono

na wyjściu zostawiasz dripperem niedotańczone glyfy

rzucasz na ściany konstelacje dla nieobecnych

nieważkie

#

after po nieskończoności

bezwiedne odsuwanie popiołu

wreszcie ciało padnie ze zmęczenia

tobie zostanie przyglądać się nagraniom

jak pokrywają cię kolejne warstwy sennego prochu

# #

####

#

#szu#m#

#

]]]]]]] e]]kr]an

]]

zagubieni w ciałach *

brakuje tabletek

spięte przewody

żeliwo kostnieje w głowach

i zapominamy

error 404

słyszysz ten powracający sygnał

zakodowane trajektorie

posłuchajmy

astralne wołanie

nie odnajdziemy

własnej galaktyki

brakuje tabletek

nosimy półżywe pneumocyty

czerwony tlen w oddechu

rozdrapujemy skórę

error 404

krążymy nieistotnymi ulicami

nieustalone orbity

nieruchome księżycienie

przekręcamy kanały

skalistego odbiornika

statyczne szumy

przebyliśmy tysiące bitów

by się spotkać

w przypadkowych ciałach

error 404

szukamy kontaktu

google search

elektrycznymi opuszkami

na folii

trzepocze latarnia

złamane skrzydło opada

nasze twarze

naga skóra

okablowane objęcia

odsłoń włosy

runy porastają szyję

astralne wołanie

Ola Lewandowska

Historyczka sztuki, copywriterka. Laureatka Połowu Biura Literackiego (2021). Publikowała m.in. w „Migotaniach”, „Drobiazgach”, „Fabulariach”, „Tlenie Literackim”; pojawiła się również w 111. Antologii Babińca Literackiego (2020). Siedzi w plakacie. Mieszka w Warszawie.

ustawka

brzuch lipca: rozcinaj powoli
bezruch bezduch śmierdzi
rozgrzanym asfaltem i potem

wszystko ciągnie do cienia tam rozgrywa się miasto
w bramie wołają na nas
zakryj kolano odsłoń kolano daj

pierwsze brzydkie słowa zbieramy jak czereśnie
najpierw obrót pestki na języku
potem wystrzał

syreny

śpiew to wytaczanie pustki z ciała
night in white satin najlepiej smakuje po whisky sour
wtedy zawsze odsłaniasz pępek
podzielony linią od rajstop

spójrz jak ocean przecina wszystko w połowie
pamiętasz jak krew drążyła tunele na dywanie
gdy rano szły roztopy spływałyśmy z nią do wisły

where the wild roses grow

wejście na oskę jest wąskie
jeden prześwit między drzewami
nie da się inaczej
trzeba właśnie tędy
zajść nasz teren od boku

tamtej wiosny wszystko kwitło w kolorach brudnego różu
chłopcy z blokowisk odwracali wzrok śmiałyśmy się
z ich spuszczonych głów

Juliusz Pielichowski

Poeta, tłumacz z języka angielskiego. Opublikował tom wierszy *Czarny organizm* (Mikołów 2019). Przekłada na język polski eseje i pisma H. D. Thoreau (*O chodzeniu*, Lublin 2019; wybór z „Dziennika", „Literatura na Świecie" nr 9-10/2020). Przygotował wybór szkiców i opowiadań Elizabeth Bishop (*Amerykańska Szkoła Pisania*, razem z Andrzejem Sosnowskim i Marcinem Szustrem, Stronie Śląskie 2020), a ostatnio, z angielskiego przekładu, spolszczenie zaginionego opowiadania Marka Hłaski (*Diabły w deszczu*, Mikołów 2020). Mieszka w Krakowie.

KAZANIE DO PALCÓW

Strumień podświadomości; na wierzchu.
Wyławiam swoje ciało, nakrapiane jak pstrągi.
Gdy pojawiają się ilustracje, jestem gotowy; życie
upływa nam w cieniu *Drzew i krzewów Polski*.

Zlizuję sól z jej ciała; jest ze środka. Pokazuje
pieprzyk na piersi, mówi: tutaj umrę. Prześwitują
prawdy, są czarne; jej myśli. To koniec pieśni,
za paznokciem; już tu jesteś, martwy.

WIERSZ DLA SZCZURA

W zmrożonej ziemi wydrążyłem łyżką
głęboki dołek, początek pionowego
tunelu, i wsunąłem do niego zawinięte
w chusteczki ciało szczura, który
przeżył z nami kilkanaście miesięcy,
zanim trafił tam, gdzie
trafił, głową w dół;

na imię miał.

Z MARTWEGO, PIERWSZY

Te wiersze;

jakbym wszedł do domu, w którym ktoś
umarł.

Kamil Plich

Publikował wiersze w *Helikopterze.* Dłuższego biogramu się jeszcze nie dorobił.

(

Śmierć zanieczyściła drogę krzyżykiem
świeczuszką i maryjką
W Jutlandii rabatki przy wjeździe
zapraszają do domów zamkniętych
- chodzi o możliwość

Znów jesteśmy w tej samej restauracji
I jestem pewny, że ostatnio
zamówiłeś to samo

((

Tylko hasła
(ich i tak nikt nie pamięta)

Pytanie pomocnicze

Nic per se

Imię panieńskie matki
Widok z okna

Samochody
Semafory

Albo pełnomocnictwo

I dalej samochody
Semafory
Piksel to nie koło

(((

Adam - kasjer sprzedawca w Penny
szukaniem gołej twarzy substytuuje
kontrolne sięganie między nogi
zagrożenie, powrót władzy
tylko w łokieć
pętla

(/

Ciotka zastanawiała się, dlaczego
Jej ktoś tam, starszy, kobieta
Nie czyściła tych kątów
Tych rogów

Już rozumie, mówi
Ona tam tego brudu
Nie widziała
tyle

Alicja Rosińska

Rocznik ‘92, jej teksty opublikowano m.in. w „Kwartalniku artystycznym”, „Wakacie”, „Kwartalniku Rzyrador”, „Tlenie literackim”, „Stonerze Polskim”, „Helikopterze”. Mieszka i pracuje w Gdańsku.

specjaliści od zasobów ludzkich

ustalili optymalny czas na wykonanie zadania
więc jak spróbujesz przez trzy sekundy
nie poruszać się aby pierdnąć
masz przejebane (jeśli współpracujesz z taśmą)
ale trzeba przyznać że wykonali dobrą robotę
piątkowi studenci

koło 17 zawsze wpadają

gołębie
śmieją nam się prosto w twarz
szepczą: niewolnicy,
srają nam na szyby
i odlatują

w naszej fabryce

dziewczyny lubiły dziewczyny
jeśli te miały rano makijaż
były niespóźnione, energiczne i
trzeźwe
ja nie wkradłam się w ich łaski
ale nigdy nie sprzedały mnie
że trzeźwieję dopiero po długiej przerwie
a ja nie sprzedałam ich
że kradną mięso z magazynu

Błażej Tomaszewski

Rocznik 1993. Pisywał tu i ówdzie. Mieszka w Poznaniu.

polucje nocne

śniłem dużo i długo w przeproście łóżka
wyobraziłem sobie że znajdę się w obszarze twojej ziemi
bo przecież ta ziemia rozkopana to bijące serce
dla wszystkich skurwysynów i tępych chujków
znalazłem się jednak gdzie indziej
w podręczniku od przyrody dla czwartoklasistów
pod pytaniem czym się różnią dziewczynki od chłopców

ombre

raz po raz w kolorze schnącej kałuży paznokcie
palce wzbraniają się przed drżeniem
i to jest przecież sekunda
atom podzielony włosem na czworo
propozycji można powiedzieć „czasem”
wejść w niechęć po angielsku
hello
hello
how low

twój stary to wojtek jagielski pytający tomka beksińskiego czy już wyrósł z prób samobójczych

wyszli na dwór ci wszyscy którym lekarz zapisał jogging na receptę
cudownie ozdrowieli na drifcie między drzewem a chęcią do życia
przecież głębokie gardło korytarza do jutra zwęża się dopiero za tobą
nie ma co marnować życia na marnowanie życia ciśnij do przodu
mordeczko
tomek beksiński wyrósł z prób samobójczych
dorósł do samobójstwa

Małgorzata Zagajewska

Urodzona w 1987 r. na Mazowszu. Studiowała i żyła wiele lat we Francji, teraz mieszka w Koninie. Publikowała wiersze na łamach KONTENT-u, Tlenu Literackiego, biBLioteki, Drobiazgów i w antologii „Głód" wydanej przez Instytut Literatury, a także opowiadanie „Słoik" na portalu e-Kalejdoskop.pl. Zdobywała wyróżnienia m.in. w projekcie „Połów. Poetyckie debiuty 2019", XXVI OKP im. Jacka Bierezina oraz w drugiej edycji konkursu „Nowy Dokument Tekstowy". Śpiewa muzykę otwartą. Wydała albumy z zespołami Szpety, Casting Lots, Amoonnafi i Word-Sound-Pool. Koncertuje w Polsce i poza nią, występowała też w teatrze. Jest matką, żoną i uwielbia dobrą kawę.

nie akceptujemy zwierząt, dzieci i robotników zagranicznych

skołtuńmy się zalęgnijmy we wnękach będą nas wypleniać
zeskrobywać jak grzyb zza meblościanki mówiłaś o sobie
paląca niepraktykująca dziś czuję w zwojach skóry zapach
rozżarzonych przestojów wahań podwadź jedną z warstw a sama
zobaczysz: czy tam tli się życie?
albo nagie drzewa?

akceptujemy zwierzęta w mieszkaniu w granicach rozsądku

zachowajmy szczególną ostrożność: chodź podlinkuję twoje imię
nadam ci więcej znaczeń mów do mnie tylko hipertekstem obiecaj
ciało przepuszczone przez filtr życie w ocieplonych barwach
w rozmiękczonym świetle

kaucja za zwierzę

nie przyjmę cię na język nie chowaj urazy zgadnij moją temperaturę
wrzenia i kiedy przechodzę w stan ciekły jeśli zawrę wyparz mną
gardła odkaż listwy i framugi potem wślizgnij się:
tam będzie ciepło i sterylnie tam nie będzie lęków lajków nakładek
ruchów tam będzie światełko a na jego dnie sen

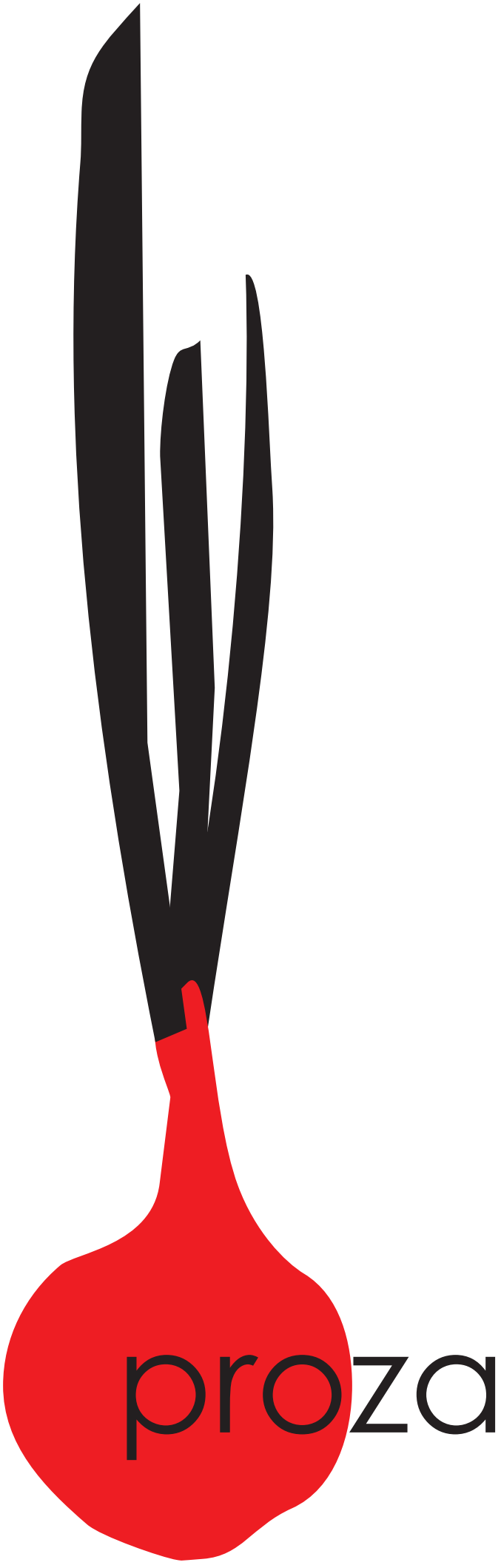
proza

Kamila Janiak

Autorka pięciu książek poetyckich: *frajerom śmierć i inne historie* (2007), *kto zabił bambi* (2009), *zwęglona jantar* (2016), *wiersze przeciwko ludzkości* (2018), *zakaz rozmów z osobami nieobecnymi fizycznie* (2020). Za *wiersze przeciwko ludzkości* i *zakaz rozmów z osobami nieobecnymi fizycznie* została nominowana do Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius w 2019 i 2021 roku. *Wiersze przeciwko ludzkości* były także nominowane do Nagrody Poetyckiej im. Wisławy Szymborskiej w roku 2019. W czasach przed pandemią aktywnie zajmowała się muzyką, śpiewała i pisała teksty w zespołach: DAS MOON, Krůk czy We Hate Roses. Obecnie pracuje nad debiutem prozatorskim, który ma się ukazać w 2022 roku.

Wieczne lato

- Panie traktorzysto! Panie traktorzysto! Proszę! – zdesperowana wyciągnęła rękę w stronę głowy kierującego traktorem człowieka. Nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Czapka na spoconych włosach nawet się nie poruszyła. Człowiek za małą, groteskową kierownicą, niewzruszenie jechał dalej wąską drogą między polami. Trzęśli się. Dygotali na boki, w górę i w dół. Z każdym najechanym kamieniem, każdą kępą trawy na którą z trudem wdrapywał się mały traktor, wytrząsali z siebie monety, chusteczki i fragmenty ubrań. Upał naoliwiał wszystkie części maszyny, rozbłyskiwał lepkimi plamami na wielkich błotnikach i zdawał się kapać na ziemię tłustymi, gęstymi kroplami. Było jej gorąco. Spojrzała w dół. Z niewiadomych powodów siedziała na sankach, które z kolei ciągnął na grubej linie za sobą traktor. Siedziała na nich w swetrze i spodniach z polaru. Kątem oka, kiedy kąt oka nie był jeszcze tak roztrzęsiony od żrącego od słońca kuligu, widziała jak spadają z niej buty narciarskie (nie miała skarpetek) i rękawiczki. Miała też szalik, ale kiedy go straciła, nie pamięta. Chciała się rozebrać, wszystko w niej płonęło i uwierało. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy stopniał śnieg? Kiedy wyjechali poza porę roku?

- Proszę się zatrzymać! Proszę Pana! – jak na złość, tylko przyspieszył, zawadzając o wszystkie możliwe przeszkody z większą prędkością, mocą i zaangażowaniem. To koniec, pomyślała. Ugotuję się, tkanki miękkie przez nieustający dygot, odpadną od kości i zamienią się w papkę. Papkę w swetrze. Twarde się pokruszą. Lisy się ucieszą. Lisy, wilki, niedźwiedzie.

Nagle wszystko ucichło. Tak jej się zdawało, bo poczuła absolutnie nic. Przez sekundę nie mogła się zdecydować czy faktycznie nastała cisza czy poczuła ulgę, kiedy zabrakło wstrząsów. Otworzyła oczy raz, drugi, trzeci i zobaczyła tylko niebo. Unosiła się w powietrzu, lekko wygięta, twarzą w stronę słońca. Obok niej przeleciały dwa białe ptaki i malutki samolot. Spróbowała odwrócić się na brzuch, zobaczyć coś więcej, coś, cokolwiek. Gdzie jest traktor? Po paru próbach i pomocy jednego z ptaków, który zaczął dziobać ją agresywnie w stopę, udało się przekręcić. I zobaczyła. Tam, gdzie jeszcze kiedyś (kiedy to było?) była droga między polami, teraz falowało morze długich kłosów. Układając się w wieki wir pochłaniało maszynę i kierowcę. Ostre, błyszczące kłosy cięły skórę i karoserię. Tryskała para i krew. Smar i krzyk. Warkot niszczonej maszyny mie-

szał się z wysokim jękiem pana traktorzysty. Kiedy zboże ożyło? Kiedy wyjechała? Gdzie to było? Jadła dziś chleb? Naokoło wiru wznosiły się i upadały, w równym rytmie, pozostałe zboża. Nie widziały jej jeszcze, chociaż powoli zbliżała się do ziemi. Wokół zaczęły gromadzić się zwierzęta. Im też było gorąco, były spragnione, upał kapał im z pysków. Lisy, wilki, niedźwiedzie. Lisy, wilki, niedźwiedzie. Lisy i wilki widziały ją. Już ją dostrzegły niedźwiedzie.

- Wszystko ok? – poczuła, że ktoś nią delikatnie potrząsa. Poczuła, że ma mokrą twarz i bardzo sucho w ustach. Otworzyła oczy raz, była pewna. Nie da się otworzyć oczu więcej niż jeden raz. Była w biurze. Przed sobą widziała czarny ekran komputera, długopisy w kubku i ścianę działową ołpenspejsa. Opierała się rękami o blat, musiała zasnąć.

- O matko, czy ja spałam? – zwróciła się do osoby obok – Kurde, przepraszam.

- Daj spokój, nie ma sprawy i tak jest już późno. Klimatyzacja padła już całkowicie i każą nam iść do domu. W biurze są trzydzieści trzy stopnie, jakiś dramat.

- A która jest godzina? – zapytała starając się osuszyć twarz chusteczką. Bardzo jej się chciało pić, żar od strony okna, mimo, że zasłonięte było roletą, bił ją po skórze i nieznośnie mieszał się z chłodniejszym powietrzem z wnętrza biura.

- Piąta. A ja myślałam, że zasłabłaś. Dwie osoby już dziś zemdlały. Rozumiesz? To już nie są żarty.

- Tak? - powoli wracały jej zmysły, ale nadal wszystko w jej głowie i ciele działo się okrutnie powoli.

- Dobra, spadam. Na szczęście klimatyzacja w samochodzie mi jeszcze działa. Jezu, jak dobrze. A Ty? Jak przyjechałaś do pracy?

- Tramwajem – traktorem, poprawiła się w myślach i rozśmieszyło ją to.

- Tramwajem? Oszalałaś? Przecież… zresztą jak chcesz. Na zewnątrz jest ponad czterdzieści stopni, tylko mówię.

- Wiem, wiem, dzięki. Poczekam może do zachodu słońca. Albo zamówię taksówkę.

- Może być ciężko z taksówkami, wszyscy się na nie rzucili, ale trzymam kciuki. Pa!

Był piątek, to już sobie przypomniała. Od dwóch tygodni szwankowała klimatyzacja, a dziś padła kompletnie. Na zewnątrz szalał upał, skwar i całkowite bez chmurze. Już trzeci miesiąc w tym roku, a przed nimi jeszcze trzy do jako takiej jesieni albo zimy. Trudno powiedzieć o jakich porach roku uczą się teraz dzieci w przedszkolach i czego uczą w szkołach odnośnie cykli przyrodniczych. Muszą się nieźle gimnastykować w tych pokojach nauczycielskich.

Nie spieszyła się do domu. Nic tam na nią nie czekało poza nagrzanym do granic możliwości jasnym mieszkaniem. Dziesięć lat temu to była zaleta, teraz było piekłem. Za resztkę wypłaty z zeszłego miesiąca kupiła dwa wiatraki, które poprawiały sytuację o tyle, że mieszały gorące powietrze z powietrzem lepkim i człowiekowi zdawało się, że jest nieco lepiej. Kiedyś narzekali na lato, że bywało zimne i deszczowe, że nad morzem pada, że w górach pada. Pamięta matkę, która marudziła, że w takich warunkach nie da się opalać, żyć, że takie zimne lato to skaranie boskie. Że Polacy byli jak zwykle niegrzeczni i, że ona kiedyś wyjedzie stąd w pizdu. Była zakochana w słońcu, brązowej opaleniźnie, wycieczkach i pstrokatych ubraniach w motywy roślinne. Teraz, gdyby żyła, mogłaby opalać się ile wlezie. To znaczy jakieś dziesięć minut do przegrzania organizmu. Niestety umarła na serce, na jego niewydolność jakieś dwa lata temu. Nie była w stanie ciężkim, nawet panujące na zewnątrz ponad trzydziestostopniowe upały jej nie zabiły. Nie zabiło jej także duszne powietrze, ani agresywne burze szalejące pomiędzy falami upałów. Tego dnia akurat podczas nawałnicy nad Warszawą wysiadł prąd. Jakiś piorun, jakaś awaria, jakaś elektrownia. Całe miasto zamarło. Trwało to niecałą godzinę, ale wystarczyło, żeby nie znaleziono zapasowego zasilania podczas prostego zabiegu na sercu. Jakieś uszkodzenie, coś nieodwracalnego. Nie było jej w ciągu tygodnia. Gdyby dożyła tego lata byłaby rozczarowana. Ludzie mówią, żeby uważać czego się pragnie. Ona pragnęła słońca i ciepła. Wiecznego lata. W tym roku mogłaby znienawidzić swoje marzenia.

Wyjrzała przez okno. Ulice w ciągu dnia były puste i suche. Reszta roślinności, jaką pozostawiono, umierała powoli. Przez pierwsze dwa miesiące tego roku władze miasta

walczyły. Wieczorem zraszano i podlewano wybrane obszary, ale w tym miesiącu przestali po protestach. Wody było mało, nikt nie chciał marnować jej na drzewa. Wszystko drożało, wszyscy starali się dotrwać do kolejnej pory roku, jaka by ona nie była.

Powoli wstała i poszła do biurowej kuchni. Na szczęście znajdowała się w samym środku kompleksu, otoczona gabinetami, salami konferencyjnymi i co najważniejsze, nie miała dostępu do powietrza, które wrzało na oknach. Wzięła dużą szklankę z palmą i nalała sobie wody z kranu. W dystrybutorach już od środy po południu było sucho. Dostawca podobno zapewniał, że to chwilowy przestój i w poniedziałek wznowią normalne dostawy. Może nieco ceny wzrosną, może baniaków będzie mniej. Niektórzy jeszcze żartowali, że spotkało ich szczęście, bo zawsze chcieli mieszkać w jakimś ciepłym kraju, ale nikt już się nie śmiał. Ludzie byli zmęczeni i spoceni. Wiecznie lepcy i ciężko oddychający. No cóż, pomyślała, ma jeszcze jakieś cztery, pięć godzin do wyjścia. Biuro zrobiło się puste. Może zdrzemnie się w toalecie dla niepełnosprawnych? Brzmi dziwnie, ale tam powinno być najchłodniej. Wszyscy o tym wiedzą. Jest to całkiem spore pomieszczenie, całe wyłożone kafelkami. Weźmie laptopa, obejrzy film. Trzeba sobie radzić.

Około dziewiątej obudził ją odgłos spuszczanej wody. Na początku miała wrażenie, że dzieje się to tuż przy niej, poderwała się więc zmieszana z podłogi i gotowa do przeprosin. Na szczęście, szmer dochodził zza ściany. Ktoś musiał przyjąć podobną do niej taktykę przeczekiwania słońca. Odetchnęła głęboko. Poczuła odświeżacz powietrza i lekki zapach zadbanej toalety. Było ciemno, tylko wygaszacz ekranu laptopa rzucał jasne światło na twarz i ściany. Nie pamięta, kiedy usnęła, pamięta tylko fragment filmu, gdzie niedźwiedź przednimi łapami miażdżył jakiemuś człowiekowi czaszkę i tors. Odbijał się i lądował z impetem w krwawej brei. Co ona właściwie oglądała?

- O, cześć – powiedział zdziwiony mężczyzna, kiedy wyszła z toalety z laptopem i minęła go przy kuchni. Pracował w księgowości, nie znała jego imienia, ale kojarzyła go z korytarzy i nielicznych już imprez firmowych.

- Cześć, cześć. Ty też tu jeszcze? - odpowiedziała, sennie się uśmiechając. Chyba samymi oczami, nie była pewna.

- Taaaak. Nie wziąłem dziś żadnego okrycia od słońca, żadnego parasola, wolałem nie wychodzić na ten skwar.

- Czaję, ja też nie miałam siły.

- A gdzie byłaś tyle godzin? Nie widziałem cię.

- Wstyd się przyznać, ale w kiblu. Kafelki, chłód, te sprawy – na jej słowa wybuchnął miłym, ale zmęczonym śmiechem. Oczy miał zapadnięte, skórę spoconą i nawet z większej odległości widać było wielkie, zatkane kilkugodzinnym potem, pory skóry – sprytne! Dzięki za pomysł. Może tam będę spał.

- Bardzo proszę, byle wolne było w poniedziałek – zażartowała, ale żadne z nich nie miało już energii na widoczne oznaki rozbawienia. Poniedziałek był za dwa dni. Dwa gorące dni w domach, które raczej nie są klimatyzowane. I długo nie będą. Ceny klimatyzacji wywindowały w górę, a czas oczekiwania rozlał się po całym roku. Z nieprecyzyjnym końcem
i lekko tylko pewnym, zaznaczonym zaliczką, początkiem.

- Dobra, będę lecieć. Trzymaj się tu. Wszystkiego chłodnego.

- Dzięki, tobie też – odpowiedział odwracając się powoli w stronę swojego pokoju – Nie przyjechałaś samochodem?

- Nie.

- To uważaj na siebie.

- Będę!

Na parter zeszła schodami pożarowymi. Windy też dziś miały awarię, więc cały dzień ludzie wędrowali w dół i w górę, chuchając i pocąc się na szare posadzki i metalowe poręcze. Wychodząc z budynku dostała gęstą, gorącą chmurą w twarz. Słońce już dawno zaszło, ale nagrzane powietrze, napchane wilgocią do granic możliwości, zalepia-

ło oczy
i nos. Sprawdziła pogodę na telefonie. Trzydzieści sześć stopni, lekkie zachmurzenie, poinformował ją uśmiechnięty księżyc za chmurką. Na jutro radosne słoneczko zapowiadało grubo ponad czterdzieści i bezchmurne niebo. Ruszając przed siebie, zaczęła się zastanawiać, czy wrócą problemy z wodą.

Ludzi na ulicach było więcej niż w ciągu dnia. Wieczorem łatwiej i przyjemniej było zrobić zakupy. Coraz więcej sklepów albo przenosiło się na tryb zmianowy, albo przesuwało godziny otwarcia tak, żeby działać do pierwszej czy drugiej w nocy i przyjąć jak najwięcej klientów. Podobnie zaczęły działać usługi. Sektor prywatny bardzo szybko dostosowywał się do zmieniających się warunków, natomiast publiczny, w tym urzędy, dopiero zaczynały się budzić ze snu.

Wyminęła grupkę spoconych, młodych ludzi. Mieli wilgotne czoła, wodniste oczy i zdecydowanie za głośno się śmiali. Nie byli trzeźwi, czego zaraz im pozazdrościła. Zanim ona dotrze do domu, ci tutaj, będą już spać gdzieś na jakiejś domówce. Też mogłaby się dokądś wybrać, wyjść do ludzi, pobawić się. Jest gorąco, ale w nocy idzie jakoś wytrzymać jak się pije. W końcu też przyjdzie coś na kształt ciepłej zimy albo umiarkowanej jesieni, zacznie się większa aktywność. Ludzie nie wyginą tak szybko, nie dadzą sobie tego wyrwać, cokolwiek by się nie działo.

Na przystanku, z którego jeździła do domu, były tylko dwie osoby. Oprócz niej chłopak, który zaraz zniknął w tramwaju i dziewczyna siedząca na ławce. Tramwaj czekał do ostatniej chwili, kusił wolnymi miejscami, a pojedyncze blade twarze patrzyły ponad przystankiem, szukając wytchnienia przynajmniej w widokach na zewnątrz. Musiało być gorąco. Przy dalszym braku zainteresowania, tramwaj zamknął szybko drzwi i odjechał. Dziewczynie z ławki opadła głowa.

- Wszystko w porządku? – doskoczyła do dziewczyny i lekko chwyciła ją za barki, nie pozwalając zsunąć się na chodnik – Halo? Słyszysz mnie?

- Yhym – wymruczała powoli otwierając oczy – chyba zaczynałam przysypiać. Jest strasznie duszo.

- Cholernie, możesz oddychać? Masz co pić? – dziewczyna była mokra i blada. Wyglądała jak wyjęta z zamrażarki i pozostawiona na chwilę w cieple. Cała jej skóra pokryta była drobnymi kropelkami. W miejscach, w których ją przytrzymała, chroniąc przed upadkiem, pojawiły się mokre plamy.

- Tak, mogę oddychać, sorry. Pół dnia na słońcu, bez klimatyzacji, jestem wykończona.

- A woda?

- Nie, nie mam, ale mieszkam blisko…

- Czekaj, ja mam dwie butelki – dziewczyna już miała zaprotestować, ale ona szukała już w torbie małej plastikowej butelki. Miała takie dwie, przed wyjściem z pracy napełniła obie zimną wodą z kranu. Nie wyglądały na nowe, ale były prawie pełne. Jedną wyciągnęła w stronę dziewczyny – proszę.

- To świeża woda? – zapytała mokra, ale nie wzięła wody.

- Z kranu, ale lepsza niż żadna, bierz – dziewczyna nadal nie ruszała się z miejsca. Spoglądała na zmianę to na lekko odrapaną butelkę, to na obcą twarz zapraszającą do ugaszenia pragnienia – weź, proszę.

- A piłaś z niej?

- Co?

- Z tej butelki? Czy piłaś?

- No tak, ale umyta jest, nie bój się, jestem szczepiona i doszczepiona. Mogę pokazać….

- Nie, nie, przepraszam, no tak – dziewczyna spuściła głowę i przyjęła wodę. Odkręciła nakrętkę i napiła się z przyjemnością – dziękuję.

- Nie ma problemu.

W oddali widać było światła nadjeżdżającego tramwaju. Pasował. Dziwne uczucie, miała wrażenie, że granatowy wieczór jest gęsty jak stygnący kisiel, a każde światło i każdy reflektor gorący. Tramwaj na horyzoncie zdawał się parować i roztapiać cienką warstwę powietrza wokół siebie.

- Serio, przepraszam. Mam słabą odporność, wolę nie ryzykować – przerwała jej dziewczyna biorąc kolejne, duże łyki wody. Nie wyglądała wcale lepiej, ruszała się wolno i sennie.

- Słusznie.

Wymiana uprzejmości. Tramwaj właśnie wjeżdżał na przystanek. Obie odwróciły głowę w stronę syków i jęków hamującego pojazdu.

- Ja wsiadam. Posiedź chwilę może, wypij całą.

- No, tak zrobię, mi i tak ten nie pasuje – spojrzały się na siebie i wiedziały od razu, że jedna z nich kłamie, ale żadna ze stron nie chciała poświęć więcej czasu na tłumaczenia. Zarzuciła torbę na ramię i wsiadła do tramwaju. Było tak samo jak na zewnątrz, klimatyzacja oczywiście nie działała ale otwarte okna pozwalały, żeby lekko rozpędzone powietrze rozbijało gorące chmury w środku. Tamta kłamała. Z tego przystanku odjeżdżały tylko dwa tramwaje, musiała się naprawdę źle czuć. Wyglądała źle, a kiedy przestawała mówić i mimowolnie rozluźniała mięśnie twarzy, robiło się jeszcze gorzej.

Tramwaj jechał szybko. Żółte światło z wagonu czasami przygasało, żeby zaraz potem odzyskać pełną moc, pozdrawiając w ten sposób mijane światła samochodów, przystanków i okien. Bloki odbite w galaretowatym granacie nieba w większości były całkowicie ciemne. Gdzieniegdzie tylko można było dostrzec brązowo-pomarańczowe prostokąty, gdzie ludzie siedzieli przy małych, niepozornych lampkach. Tak jakby górne oświetlenie parzyło jak słońce. I gdy nagle jakieś okno rozbłysło, zaraz gasło, zawstydzone, że taka sytuacja miała w ogóle miejsce. Ludzie polubili mrok. Jedynie zimne, prawie białe światła stacji benzynowych, witryn sklepów, neonów nie raziły nikogo. W końcu były chłodne i błyszczały jak lód.

Zamyślona nie zauważyła, że tramwaj w ogóle nie stawał na przystankach. Pędził, zgrzytając przez miasto, przecinając ulice, chodniki i skrzyżowania. Dopiero w połowie drogi do domu zorientowała się, że już dwadzieścia minut jadą bez przerwy. Trzeszcząc i piszcząc, tramwaj mocno trzymał się szyn, nie dając się wybić z raz obranego tempa. Rozejrzała się po wagonie. Dwie osoby spały, z głowami kołyszącymi się w takt mocniejszych

szarpnięć. Jedna chrapała. Właśnie minęli kolejny przystanek. Z ludzi stojących na przystanku nikt nie zdążył zareagować, trzech mężczyzn odprowadziło tramwaj wzrokiem. Byli lekko zdziwieni, ale nikt nie miał siły ani się zdenerwować, ani unieść rąk czy krzyknąć. To widziała na pewno, nikt nie zrobił żadnego gwałtownego ruchu. Wstała i przeszła, trzymając się poręczy, do przodu. Gdy dotarła do kabiny, wyjrzała przez nią i zobaczyła jak tramwaj ani odrobinę nie hamując, wjeżdża na czerwonym świetle na rondo Radosława.

- Ej! - krzyknęła cicho i poczuła jak gęsia skórka stawia każdy włosek na skórze na baczność. Zaschło jej w gardle i o dziwo, zrobiło jej się nawet trochę zimno, kiedy tramwaj prawie zderzył się z innym, przecinającym rondo w poprzek. Nikt nie zareagował, nie zahamował, zero sygnału dźwiękowego. Po prostu dwa metalowe pojazdy, bezwiedne, zahipnotyzowane i trzaskające, pokonywały trasę jak puszczone przez sześciolatka zabawki. W tle choinka i rodzice pijący wino. Zapukała w szybę kabiny. Mocno. Brak odzewu, motorniczy jak siedział tak siedział, nie ruszył ani ręką ani nogą. Zaczynali zjeżdżać z ronda, samochody na szczęście przepuściły rozpędzony tramwaj, nikt się z nikim nie zderzył. Zaczęła walić w szybę pięściami.

- Ej! Zatrzymaj się! Stój! Przystanek! – kątem oka widziała innych pasażerów, którzy obudzeni jej krzykami, nieprzytomnie rozglądali się dookoła – Ej! Kurwa, stój!

Nagłe szarpnięcie unieruchomiło wagon w czasie i przestrzeni. Światło zgasło, a pisk hamowania na sekundę zamienił się w kłującą ucho ciszę. Ciała pasażerów spuchły i jakby uniosły się na sekundę, aż coś się w końcu odetkało i walnęła głową w szybę. Tramwaj stanął. Przez chwilę nic nie widziała, nic nie słyszała, a pod podeszwami lekkich sandałów czuła chrupiące kosteczki szkła. Chyba płakała. Po chwili światło zamigotało, zapaliło się i dźwięki wróciły. Potrząsnęła głową, otarła ręką policzek i wtedy zauważyła, że wcale nie płacze. Z czoła spływała jej cienka stróżka krwi.

- Ja pierdolę, ja pierdolę – wysyczała i szukając w torebce chusteczki zajrzała do kabiny. Motorniczy leżał twarzą na pulpicie. Oczy miał szeroko otwarte, ale była pewna, że na nic nie patrzył. Były przekrwione, właściwie całe poprzecinane czerwonymi żyłkami, natomiast tęczówki, pozbawione źrenic, zaszły mgłą. Na szczęście oddychał. Wolno i ciężko, ale oddychał. Klatka piersiowa pod rozpiętą koszulą ruszała się w górę i w dół.

Wyglądał jak z plasteliny, kiedy z mieszanki wszystkich kolorów z przewagą białego, dziecko ulepi ludzika. Całą jego skórę, a przynajmniej widoczną jej część, pokrywały kropelki potu. Była blada, lekko sina i wyglądała na zimną. Westchnęła i przyłożyła chusteczkę do czoła. Zauważyła, że pozostali pasażerowie zdołali się wydostać i razem z innymi ludźmi z przystanku, zaczęli gromadzić się powoli wokół początku tramwaju. Szybko zadzwoniła po pogotowie i wyszła na przystanek. Po drugiej stronie ulicy, w ciemne, gęste niebo waliły z całą mocą, białe neony Arkadii.

Do domu dzieliły ją trzy przystanki. Nie czekała na przyjazd pogotowia i innych służb. Sama czuła się dobrze, mimo guza i niedużego rozcięcia skóry. Przeżyje. Zresztą, nie wiadomo było, kiedy karetka pojawi się na miejscu. Ostatnio czas oczekiwania bardzo się wydłużył. Wynikało to z częstych awarii aut, sprzętu i braków w personelu. Po jako takim opanowaniu pandemii parę lat temu, liczba ratowników i służb medycznych spadła o połowę. Nikomu się to nie opłacało, jedni wyjechali, a inni znaleźli lepsze zajęcie. Potem zaczęły się upały.

Wróciła spacerem. Trzymając chusteczkę przy czole, pijąc wodę z kranu, szła starając się nie pędzić. Rozgrzane za dnia powietrze przylepiało się do niej jak lep, a gdy przyspieszała buchało jej w twarz. Czuła się, jakby wkładała głowę do zmywarki, która właśnie skończyła długi, gorący program prania. Nie dziwne, że starszy motorniczy się zapadł. Ona się momentami zapadała.

Po drodze mijała małe stadka lisów, które szeleściły w krzakach po obu stronach chodnika i tylko wystawiały pyszczki do światła, jakby sprawdzając kto idzie. Jak one sobie radziły, w tych futerkach w takie upały, nie miała pojęcia. Nie wzbudzały już sensacji, jak parę lat temu, gdy zaczęły się pojawiać w miastach. Teraz były regularnymi sąsiadami. Szczególnie na Żoliborzu. W miejscach, gdzie stały miski z wodą dla psów, dostawiało się drugą dla lisów.

- Dobry wieczór! – usłyszała za sobą jak dochodziła do domofonu. Lekko się wzdrygnęła. Głos brzmiał jakby ktoś zaprogramowany na ludzką mowę, po chwili awarii, zresetował się i uruchomił nie dostosowując głośności. Ale poznała go.

- Dobry wieczór. Pani jeszcze na nogach? – przed nią, na chodniku stała pani Lucyna. Sąsiadka z piętra. Kobieta około lat sześćdziesięciu pięciu, wesoła, gadatliwa, mieszkająca
z rodzicami. Ile oni mieli lat, nikt tego nie wiedział. Widywano ich od czasu do czasu na schodach jak starali się chodzić na spacery. Kobieta stała na chodniku z wiadrem wypełnionym ręcznikami i papierem. Wszystko zabrudzone – Wszystko w porządku, pomóc pani z tym wiadrem?

- A nieee – powiedziała jakby za głośno pani Lucyna i szybko schowała wiadro za siebie. Było ciężkie, obie ręce staruszki były napięte jak struny – sprzątam, skoro się chłodniej zrobiło. Trzeba sobie radzić w te upały.

- Prawda. No nic, to dobranoc. Jakby pani czegoś potrzebowała, wie pani gdzie mnie szukać – dodała uprzejmie i zaczęła wystukiwać kod do domofonu.

- Tak! Wiem! Dobranoc! - zdecydowanie za głośno odpowiedziała pani Lucyna. Zachowywała się dziwnie, ale na szczęście widać było białka w jej oczach, a skóra, mimo potu, miała normalny kolor. Co też ważne, nie prowadziła aktualnie żadnego pojazdu, więc nie stanowiła dla nikogo zagrożenia. Będzie żyć, pomyślała o sąsiadce i weszła do bloku.

Obudziło ją wycie i stękanie. Mogłaby przysiąc, że dźwięki dochodziły zza łóżka, ale przecież mieszkała sama, więc o ile nie zwariowała, ktoś musiał wyć w mieszkaniu obok. Sprawdziła godzinę jednocześnie rażąc się światłem nagle uruchomionego telefonu. Druga. Usiadła na łóżku i nasłuchiwała. Na początku nie mogła się zdecydować co słyszy. Wycie przechodziło od bardzo cichego do wysokiego wrzasku. Głos należał do człowieka, ale brzmiał tak, jakby człowiek próbował naśladować zwierzę. Wilka czy psa. Najbardziej ludzkie było stękanie. Odgłosy dochodziły od strony mieszkania pani Lucyny. Nie bardzo miała ochotę wychodzić z łóżka i sprawdzać co się dzieje, ale wycie wcale

nie cichło. Trwało cały czas, przerywane tylko stęknięciami, żeby potem znowu narastać. Będzie pewnie musiała wezwać karetkę. Kolejną dziś.

Wstała i ostrożnie otworzyła drzwi na klatkę. Wycie przybrało na sile. Aż dziwne, ze nikt inny nie stał na korytarzu, obudzony hałasem. Cofnęła się szybko do mieszkania i wzięła z kuchni mały, ale ostry nóż. Schowała w kieszeni, myśląc, że nigdy nic nie wiadomo. Wróciła na klatkę.

Drzwi do mieszkania pani Lucyny były uchylone. W miarę zbliżania się, wycia i stękania stawały się coraz wyraźniejsze. Pomyślała, że jakby ktoś chciał zabić sąsiadkę to robił to zbyt długo i zdecydowanie za głośno. Pocieszała się więc, że to raczej sprawa dla karetki i nie będzie musiała posiłkować się nożem. Przez uchylone drzwi widziała, że w pokoju po prawej stronie, ćmi się delikatne, pomarańczowe światło. Stanęła w progu i chwilę czekała. W mieszkaniu panowała duchota i straszny smród niemytego ciała, resztek jedzenia i moczu.

- Halo? - zawołała wsuwając powoli głowę. Wycie na chwilę ucichło, żeby zaraz uderzyć ze zdwojoną siłą – Pani Lucyno! Potrzebuje pani pomocy? – krzyknęła wchodząc powoli do mieszkania i kierując się w prawą stronę. Do pomarańczowego światła. Bardzo żałowała, że nie wzięła maseczki, smród był potworny. Bardzo ostrożnie stawiała noga za nogą, dochodząc do pokoju, w którym przez uchylone drzwi, widziała wysoką szafę z książkami skąpaną w pomarańczowym świetle. Otworzyła je szerzej lekkim pchnięciem i zajrzała do środka. Na łóżku pod ścianą leżały dwa nagie ciała. Wychudzone i sine ciała bardzo starych ludzi. Oczy zapadły się do wnętrza czaszki, a zęby dla równowagi starały się dosięgnąć sufitu. Na głowach nie było widać ani włosów ani brwi. Pościel na której leżeli była żółtawo brązowa, jakby się rozpuszczali po śmierci i rozlewali, centymetr po centymetrze. Dookoła było pełno ręczników i ze trzy wiadra. Najwyraźniej pani Lucyna starała się zapanować nad rozkładem swoich rodziców. Samej pani Lucyny nie było widać.

Zrobiło jej się niedobrze i zaczęła drżeć. Cofnęła się szybko na korytarz i wyjęła telefon. Zaczęła wpisywać numer pogotowia, kiedy na ramieniu poczuła zimną, mokrą dłoń.

- Oni już nie żyją – wychrypiała pani Lucyna – dzwoniłam, ale nikt nie przyjeżdżał, więc przestałam. Głos miała senny, zmęczony. Stała w korytarzu w cieniu, oparta o ścianę.

- A pani jak się czuje, słyszałam straszne dźwięki, to pani? Czy mogę jakoś pomóc?

- Nic nie widzę, bolą mnie kości, ale to nic. Leki mi się skończyły, ale to przejdzie. Nie wiedziałam, że to tak słychać.

- Zadzwonię po karetkę, przyjadą. Pani rodzice nie mogą tu dłużej leżeć, to niebezpieczne.

- Nie przyjadą, zobaczy pani – powiedziała stanowczo – wszyscy tu umrzemy i będziemy się rozpływać po pościeli. Ugotujemy się, zobaczy pani.

- Spokojnie, już dzwonię - wybrała numer pogotowia i czekając na zgłoszenie dyspozytora zaczęła chodzić po małym hallu w tą i z powrotem. Pani Lucyna chwyciła się mocniej ściany i powoli stękając ruszyła w jej stronę. Bardzo wolno, ale konsekwentnie parła do przodu. Dyspozytor się nie zgłaszał, sygnał stawał się coraz cichszy albo to jej coraz głośniej szumiało w głowie. Nie potrafiła ocenić, smród i zmęczenie dawały o sobie znać. Nagle twarz pani Lucyny znalazła się przed jej twarzą. Światło latarni z pokoju za jej plecami, oświetliło staruszkę. Zobaczyła siną skórę, całą w drobnych kropelkach. Jakby ktoś ulepił ją z plasteliny i zanurzył w wodzie. Spuchnięte oczy wyszły z twarzy jak u ryby, matowe źrenice poruszały się nerwowo, a w miejscu białka, świeciły się na czerwono tysiące malutkich żyłek.

- Nie przyjadą – powiedziały zęby bez ust – mówiłam, że nie przyjadą.

Zwymiotowała i upuściła telefon. Przewróciła się, uderzając głową o cienki, wytarty dywan, a pani Lucyna zaczęła wycierać ją brudnym ręcznikiem. Topiły się.

- Wszystko ok? – poczuła, że ktoś nią delikatnie potrząsa. Przełknęła ślinę i potarła mokre od potu czoło. Otworzyła oczy raz, była pewna. Nie da się otworzyć oczu więcej niż

jeden raz. Była w biurze, przed sobą widziała czarny ekran komputera, pożółkły kwiatek w doniczce i długopisy w kubku. Opierała się rękami o blat, najwyraźniej spała.

- Ale zasnęłam – zwróciła się do osoby obok – przepraszam.

- Spoko i tak jest już późno. Klimatyzacja padła i mamy iść do domu. W biurze są trzydzieści cztery stopnie, jakiś koszmar.

- Która godzina? – zapytała starając się osuszyć twarz ręcznikiem papierowym. Bardzo jej się chciało pić, żar od strony okna, mimo, że zasłonięte było roletą, bił ją po skórze i nieznośnie mieszał się z chłodniejszym powietrzem z wnętrza biura.

- Czwarta trzydzieści. Myślałam, że zemdlałaś. Dwie osoby dziś zabrali do szpitala, to już nie jest śmieszne.

- Tak? - powoli wracały jej zmysły, ale nadal wszystko w jej głowie i ciele działo się okrutnie powoli.

- Dobra, pora zacząć weekend. Na szczęście klimatyzacja w samochodzie jeszcze nie padła. A Ty? Jak przyjechałaś do pracy?

- Tramwajem – odparła automatycznie, ale zaczęła się zastanawiać. Byłam w pracy? Co to za dzień?

- Tramwajem? No dobra. Na zewnątrz jest ponad czterdzieści stopni, tylko mówię, ale jak chcesz.

- Wiem, wiem, dzięki. Poczekam może do zachodu słońca. Albo zamówię coś.

- Może być ciężko z taksówkami, ale trzymam kciuki. Cześć!

Spojrzała na kalendarz wiszący na ściance działowej ołpenspejsu. Był piątek, to już sobie przypomniała. Nie pamiętała jak przyjechała do pracy. Odwróciła się w stronę odchodzącej koleżanki, ale już jej nie było.

Elżbieta Łapczyńska

Autorka książki „Bestiariusz nowohucki” nominowanej do Nagrody Literackich NIKE, Nagrody literackiej GDYNIA i Literackiej Nagrody m.st. Warszawy, laureatka Nagrody Krakowa Miasta Literatury UNESCO, stypendystka Miasta Krakowa w dziedzinie teatru, półfinalistka Gdyńskiej Nagrody Dramaturgicznej. Z wykształcenia filozofka.

Statek-utopia

Osoby:

EWA, Die Kleine, Kangór

MARIA, Miriam, Mijaczek

CHÓR CÓR, wilczyc, utopczyń

KAPITANKA PLANETA, osoba transgatunkowa, trochę autorka, trochę pies Zaza

SCENA 1

Raz raz raz próba mikrofonu, EWA KURYLUK próbuje się na słowa z samą sobą. Jestem Ewa, pierwsza z kobiet, najstarsza z kobiet, najprawdziwsza z kobiet, mam na to dowody, cykam zdjęcia sobie i nie sobie. Wciskam migawkę pif-paf, oddaję strzał, strzał, do tej, co w okienku mówi „ha ha". Co się śmieje wąskim długim nosem, co niebieskim okiem wysyła cios za ciosem. Migawka pif-paf, oddaję strzał, strzał, witam na świecie kolejne ja, ja. Mnożę się jak pchła, każde zdjęcie jak opowieść bez dna, każda fota od nowa mówi o mnie inne story, sorry, tyle chcę powiedzieć, ale ciągle nie mogę, opowiedzieć, ale stoi mi w gardle jedno słowo. Jedna litera stanęła bokiem. Jedna litera mnie ciągle boli, ucieka, nie mogę się jej wyprzeć, wraca w kolejnym fotostory. Jeden wyraz, a tylko trzy litery, bez bajery wciskam go w koleje losu, w kolejne obrazy, w żółte szmaty rozwieszone jak truchło na haku, a on mnie unika, uwiera i umyka. W bio taktyka faktów, w bio trzeba bić takt po takcie, bio to jest muzyka poważna, spisane daty i zdarzenia, wyliczenia, ~~pochodzenia~~, fakty pochlebne, osiągnięcia, no to patrz, co o mnie piszą, co piszę o sobie ja:

Urodzona 5 maja 1946 roku w Krakowie. Malarka i fotografka, autorka instalacji tekstylnych. Pisze powieści, poezję, eseje, książki autobiograficzne. Znana i wystawiana w wielu krajach świata. Skrobie rtęć ze szczelin w podłodze na wypadek wojny. Ma za sobą ponad 60 wystaw, w tym 43 solo. Jej prace na żółtej tkaninie są inspirowane historią

rodzinną. Ukończyła warszawską ASP, wykładała na uniwersytetach za granicą. Mieszkała w Wiedniu, Nowym Jorku i Paryżu.

Urodzona 5 maja 1946 roku w Krakowie przez swoją matkę Marię. Córka dyplomaty ~~albo~~. Malarka i fotografka, astmatyczka, autorka instalacji tekstylnych, autoportretów, autofotografii, trzech autobiografii, powieści, wierszy, esejów i przekładów. Ukończyła warszawską ASP, wykładała na uniwersytetach za granicą. Znana i wystawiana w wielu krajach świata. 60 wystaw, w tym 43 solo. Jej prace na żółtej tkaninie są inspirowane historią rodzinną. Uciekła przed matką do Nowego Jorku.

Prawie nieurodzona 5 maja 1946 roku w Krakowie przez swoją matkę ~~Miriam~~ Marię, malarka i fotografka, pisarka, poetka, astmatyczka, prawie dziecięca denatka, autorka instalacji tekstylnych, autoportretów, autofotografii i powieści inspirowanych historią rodziny chorej na słowa i śmierć. Córka dyplomaty i pianistki, pisarki, poetki (w stanie spoczynku). Uczyła się w wiedeńskim gimnazjum, studiowała na warszawskiej ASP. Ma za sobą ponad 60 wystaw, w tym 43 solo, skrobie rtęć. Ukończyła warszawską ASP, wykładała na uniwersytetach za granicą. Mieszkała w Wiedniu, Nowym Jorku i Paryżu, autorka żółtych instalacji tekstylnych urodzona przez matkę, malarka, fotografka, pozbawiona matki przez matkę, uczyła się w wiedeńskim gimnazjum, gdy jej matkę zamknięto w zakładzie przez matkę, astmatyczka przez matkę, prawie denatka odratowana przez matkę, ukończyła warszawską ASP, chociaż miała być pierdoloną pianistką jak matka.

EWA:

Mamo! Wypad, zdania mi pokradłaś.

MARIA:

Dobrze ci w tym monologu, do twarzy w ciągłości zdarzeń. Nie wchodzę w słowo, do twojego bio się nie pcham, mam swoje.

EWA:

O którym mi ani słowa. Więc się podkradasz, doprawiasz mi życie, aż zajeżdża jak kimchi.

MARIA:

Wtrąciłaś mnie między wyrazy. Autorko „twórczości inspirowanej historią rodzinną". Trzy autobiografie, bo jedna to mało.

EWA:

Na trzy razy o tym, co nigdy nie padło.

MARIA:

Wtrąciłaś mnie między obrazy, Die Kleine. Autoobrazy, autoportrety, autoanalizy, autofotografie, autoagresje, autodygresje, autosugestie, automatyczne myśli.

EWA:

Co nigdy nie padło, mamo.

MARIA:

Ewusia maluje, fotografuje, gra na pianinie niestety słabo. Niestety też pisze. Utknęliśmy w jej słowach na dobre. Autobiografie, autofotografie, autotematy.

O sobie w pierwszej osobie, to przywilej, dziewucho, nikt ci nie powiedział, że są takie, dla których pierwsza osoba jest zawsze ostatnią?

EWA:

Chcę powiedzieć – że ma rację.

Chcę powiedzieć, że jej pierwsza osoba zniknęła, gdzieś na falach się rozpierzchła, cała się wypierdoliła na zakręcie. Jej pierwsza osoba się zamknęła w kuchennej szafce. O tym już pisałam, ale jak to, kurwa, powiedzieć.

O sobie zaczęłam malować, gdy straciłam słowa. Wpadłam w Wiedniu w język tak obcy, że mnie oddzielił od myśli.

MARIA:

Teraz też się pomnożysz w opowieści? Opowiedz, jak bawiłaś się u Marii Dąbrowskiej z Tulcią, cztery miesiące na wakacjach u pisarek. No opowiadaj, bo sama nie wiem, coś tam robiła. W książce pisałaś, ale nie miałam głowy się wgryzać. Rodziłam Piotrusia. Bardzo chciałam go zabić.

Opowiedz, jak bawiliście chomika. Wiedeń, nasze lata w Wiedniu. Rodzina ambasadorska. Die Familie z salonu, salon z lustrami i otomanem. I ten chomik, przyprowadziłam ocaleńca do domu w dziecięcej skarpetce. W skarpetce z ocaleńca. Znalazłam ją na ulicy, musiała spaść komuś w ucieczce. „Towarzyszu Goldi, muszę wam koniecznie udzielić kategorycznej nagany za susłowanie. Będziecie degradowani ze stanowiska starszego kolarza!". To wyczytałam z twojej książki, co Piotruś z chomikiem wyrabiał. Maine Liebie zu dir kennt keine Grenzen. Mnie z wami prawie nie było.

EWA:

Byłaś w każdej opowieści, szczególnie w tych o nie byciu z nami. Byłaś wtedy bardzo u siebie. W żółtych snach ci się siedziało najlepiej.

MARIA:

A opowiedz jeszcze to, najlepsze, jak Piotruś w Tworkach. No, opowiadaj.

EWA:

Już opowiedziałam. Napisałam.

MARIA:

No, opowiadaj. Jak podlotka z papierosem mam uczyć? Opowiadaj, skoro takaś rozgadana, aż się porzygasz od opowiadania. Z Ameryki przyjechałaś, idziesz do Piotrusia, a tam co? No? No mów. A Piotrusia nie ma. I nikt nie wie, gdzie się podział. Chodzisz, szukasz. Na strych w końcu wchodzisz, a tam Piotruś skulony jak Zaza. Skóra zawisła, na szkielet narzucona. Usta zaszyte, zamilczane. Wunderkind zamilknął i nawet nie zawył. Złotousty Krab Kępka. Zamilczyli go na śmierć, ale przeżył. Tak czytałam. Piotruś szczęśliwie się

zezwierzęcił. Spełniłaś jego marzenie o wyginięciu w nim sapiensa. Uwolnił się od człowieka. Piękna to w sumie historia. O, za ciebie opowiedziałam, no widzisz.

EWA:

Przejęłaś mikrofon. Zepchnęłaś ze sceny. Rozpychasz się w cudzym życiu, bo swoje siup, do zimowych butów, buty w gazetę, gazetę sznurkiem i do kuchennej szafki. Oddawaj. Oddawaj mówię.

No widzisz, ile tu innych, ale jak niewiele Ewy.

MARIA:

Niewiele? Tyś się w sobie sama pomnożyła. Na autoportrety, na kartki papieru jak ksero, odbijasz się od siebie i do siebie lecisz do siebie piszesz, do siebie się szczerzysz na zdjęciach. Że aż zabrakło ci w sobie miejsca i nasze życia wyrzynasz do wiadra, żeby ci się więcej ciebie samej zmieściło we łbie.

EWA:

Czemu nie mogę mieć siebie? Chcę, chcę siebie! Moją twarz chcę dla siebie. Bo ja nie wiem, co ta twarz znaczy.

MARIA:

Co nie wiesz, co znaczy.

EWA:

Ała

MARIA:

Patrz, niebieskie oczy! To znaczy, że możesz przeżyć.

Tyle wystarczy.

Ci wiedzieć.

Tyle wystarczy ci do swojej historii. Nie musisz mojej, Piotrusia i Łapki rozpisywać na głosy.

EWA:

Włóż je z powrotem

MARIA:

Po co. Wszystko, co miałaś zobaczyć, zobaczyłaś. Wszystko, co miałaś napisać, namalować, wystawić – wystawiłaś. Na widok.

EWA:

Włóż je z powrotem, oddawaj. Gdzie są.

MARIA:

Jak jest tam w środku?

EWA:

Nie wiem, kolory mi spłynęły z czaszki i zalały ciało.

MARIA:

No, opowiadaj.

EWA:

Włóż je, ja muszę widzieć. Oczami pracuję, moje oczy noszą moje nazwisko. Te dwie kulki takie dla mnie ważne.

MARIA:

Pisałaś, że to opowiedziałam. Być może. Szłam przez Lwów, przez niemiecką dzielnicę do koszar z ulotkami. Na ulotkach: armia czerwona w natarciu, poddajcie się. Nogi szły po swojemu, jak przyczepione samograje. Nogi miały przynieść ciało, twarz się zniemczyć, ręce zmęczyć rozsypaniem papierów za bramą. Tylko tyle. I powrót. A tu z okna Jan Sebastian, arią rozdziera powietrze Schwarzkopf. Ucho kazało przystanąć, wbrew nogom. Cztery lata bez muzyki, bez fortepianu, bez słuchania innego niż wewnętrznymi uszami,
a te zagłuszone przez jęki, wycie, szeleszczące szeptanie. Stałam na niemieckiej ulicy, twarz zasłuchana mogła mnie zdradzić. Ona nie śpiewała dla mnie, śpiewała dla nich.

Odcięli mi uszy na tej ulicy. Nuty mi się odbarwiały na żółto, w oknach żółte firany. Żółte pasaże – umiałam je zagrać na fortepianie . Musiałam ruszyć, iść, nie za szybko, wrócić do bazy, nie za szybko, a na pewno nie z odsłoniętą twarzą. Żółte chodniki miały przyjąć kroki, ale uszy odmawiały. Odtąd słyszały na żółto muzykę zakazaną. No a jak to jest tam u ciebie, Kangór?

EWA:

Czarno, czarno, czarno. Chciałaś mi wtrysnąć żółty w żyły, ale się nie dam.

MARIA:

Boś gówno przeżyła, żeby oszaleć.

EWA:

Przeżyłam dwa życia, twoje i Die Kleine. W ciele cię noszę, jak płód mi rośnie w brzuchu twoja historia, tlen kradnie. Wiesz jak to jest dźwigać w brzuchu matkę? Całe pokolenie chodzi ciężarne. Uwiera każda sylaba, która nie padła, każdy jeden wyraz utajony gniecie przeponę. To martwy płód, a trzeba go nosić. Chodzimy opasłe jak inkubatory. Wydłubuję cię zdanie po zdaniu, mokre kawałki rzucam na papier. Więc pomóż mi, powiedz to, co nigdy nie padło. Przeżyłam dwa życia, twoje i Die Kleine, to drugie skarlało jak w ciąży bliźniaczej, gdzie jedno bliźnię wchłania drugie plecami. Die Kleine woła, ale wątłym głosem, słabo. Powiedz to, co nigdy nie padło, inaczej we mnie zgnijesz, zgnijemy razem. Moja matka to ta, co widzi na żółto, ja widzę na czarno, żeby zygota nie przemieniła się w syf, w cieknące łajno. Dźwigałam całe życie dwa życia, jedno ukryte w kuchennej szafce,
w butach obwiniętych w gazetę, gdzie listy i tajne dokumenty, całe w nawiasie, nigdy nie wspomniane, nawet nie napomknięte, drugie, co zalewało żółcią ściany, wdzierało się do Die Klaine kopniakiem, bach-bach, leżysz mała na ziemi, matka cię sponiewierała swoim własnym lękiem, wołaniem, bełkotem, gryzieniem, szukaniem podsłuchów, tropieniem esesmanów, siedzeniem pod fortepianem z głową w nocniku. Moja matka widzi na żółto, a ja, chociaż żyję z kolorów, m u s z ę widzieć na czarno.

CHÓR CÓR:

Moja matka się pocięła żyletkami, a potem przyszła do kuchni zrobić kolację

Moja matka pocięła na kawałki moją sukienkę do komunii

Moja matka się nie cięła, po prostu się podpaliła na przejściu dla pieszych

Twoja matka miała poważne przejścia, może kiedyś ci opowie

Moja matka nie mówi od trzydziestu lat

Moja matka nie mówi, moja matka wrzeszczy

Jak moja matka wrzeszczy, to mam ochotę się pociąć

Moja matka umarła i dalej wrzeszczy

Moja matka mówi do mnie „proszę pani"

Moja matka chodzi na randki do McDonalda

Moja matka kradnie świeczki z kościoła

Moja matka odebrała sobie życie, zamknęła je w kuchennej szafce

MARIA:

Bronisz się przed żółtym, ale mi żółć pokradłaś na szmaty, na obrazy. Tak mi zazdrościsz szaleństwa? To teraz udław się własnym.

EWA:

Powiedz to, co nigdy nie padło.

MARIA:

Od mojego szaleństwa wara.

EWA:

Nie mogę się do tego przyznać, ale kiedy i-o-i-o, zabierali cię znowu, żeby ci zabrać sprzed oczu żółty śnieg, żółte kanarki, żółte gwiazdy, żeby cię zabrać od podsłuchów i z mieszkania oklejonego kablami, ode mnie jakaś niewidzialna ręka odejmowała dynamit, powietrze

już nie smakowało, powietrze się rozrzedzało, rozmywały się ramy, farby bladły, rozmakały mi w rękach obrazy, zabierali ~~starą wariatkę~~ matkę, ale zabierali mi więcej niż to niezborne chore ciało, zabierali ze sobą moją rękę-oko, oko-rękę, narząd zrośnięty z matką. Złote pigwy cmentarne zachwycały w ambasadzie, martwa natura, tak nieżywa jak umarli, których szukałaś na wiedeńskim cmentarzu. Biegałam za tobą, wywaliłaś się, kolano zdarłaś, zbierałam klamoty, co ci z torebki wypadły, a ty do mnie „pani mówi głosem mojej córki". To z tamtej pogoni te pigwy, długo żółciły się w ambasadzie. Twoja mania ożywiała mi członki, nabierałam ją jak łyżką do lodów, całą gałkę pakowałam prosto do gęby, międliłam, posilałam się każdym twoim wrzaskiem i ucieczką, kopaniem w ścianę. Daj trochę, otwórz głowę, daj zanurzyć palce. Gdzie ją masz, nie widzę. Może tędy popłynie, daj possać. Muszę się jej znowu nażreć. Jak ja dziękuję wojnie.

MARIA:

Puszczaj. To niełądnie. Ewusiu, opanuj się, proszę.

EWA:

Przepraszam, chciałam tylko trochę ciebie.

MARIA:

Obsiadłaś mnie, złapałaś wymię. Może lepiej będzie, jak sobie już pójdziesz.

EWA:

Ale gdzie? Do Ameryki? Bez oczu?

MARIA:

Jak najdalej.

EWA:

Przecież zawsze mi miałaś za złe, że wyjechałam.

MARIA:

Ale teraz bardzo cię proszę, Die Kleine, wypierdalaj.

Adrianna Olejarka

Urodzona w 1992 r., poznańska uczycielka, psychofanka slamów poetyckich, publikowała, pisze.

ranna Dziewczynka

W tamtej chwili jestem tą Dziewczynką. O białym ciele, w różowej bluzce opiętej na dziecięcym wystającym brzuszku. Szpotawe nogi, blond włosy, grzywka, jakiej nie ścina się dziewczynkom, wygląda przez to jak dziecko o kobiecej twarzy. W tamtej chwili jestem jej smutkiem, czuję go wyraźnie, jestem smutkiem w jej niebieskich oczach, które mówią mi z pretensją *obtarłam nogę i teraz leci mi krew idę do domu to odkazić*. Nie mam jej do powiedzenia nic prócz żałosnego *będziesz żyła* i *to dobry pomysł* i wiem, że na twarzy rysuje mi się ten dziwny grymas niezręczności, co wygląda, jak bym powstrzymywała śmiech. Czy wwiercę się jej we wspomnienia jako kadr głupiej kobiety o wyglądzie dziecka, zapewniającej ją, że przeżyje? Ona nawet się nie uśmiechnęła; byłam wtedy tą dziewczynką, poczułam jej smutek tak głęboko, że gdy już straciłam ją z oczu, smutek uwiązł mi w gardle i chciałam płakać, patrząc na mojego psa. Ale nie płakałam. Byłam smutkiem, byłam płaczem.

Gdy następnym razem w gabinecie, w którym jest kaloryfer o jedenastu kolankach, biurko art déco, nad nim portret Freuda, a obok kozetka, usłyszę pytanie: *a ten smutek, to co to jest?*, już będę wiedziała. Mój smutek jest małą Dziewczynką, wpisującą *smutne* w pytaniu o ulubione piosenki i filmy. Uczącą się przyrody w drodze do parku, zamiast zostać z rówieśnikami na podwórku. Smutek jest Dziewczynką, która wstydzi się przebierać na wuefie, bo nie nosi stanika, a gdy zaczyna – jakiś starszy chłopak z osiedla, naciągając jej bluzkę, stwierdza, że niepotrzebnie. Smutek jest Dziewczynką z dżdżownicami rzuconymi we włosy, podglądaną w toalecie w zerówce, płaczącą na zapleczu sceny tanecznej, bo nie wypożyczyła właściwego stroju, w samotności idącą do domu odkazić kolano. Smutek jest Dziewczynką uplecioną z kilkunastu tragicznych kadrów. Smutek to wstyd, smutek to dramat, z dramatu jest Dziewczynka, ona jest smutkiem.

Jestem Dziewczynką lat dwadzieścia dziewięć i umiem tylko w smutek*. Ale w tamtej chwili jestem Dziewczynką o szpotawych nogach, włosach blond, która być może wcale nie przeżyje. Jak ja.

*parafraza Marii Peszek, ave Mario

Bartosz Popadiak

Prozaik, poeta, tłumacz z rosyjskiego i ukraińskiego. Na koncie ma dystopię „Podzwonne dla Instytutu”. Obecnie pracuje na nową powieścią pod tytułem „Twoja królowa jest jaszczurem”. Wielki fan zespołu Death Grips.

A imię jego Urlop

fragment powieści *Twoja królowa jest jaszczurem*

Market mieści się w galerii handlowej.

Czy też może galeria w markecie? Ciężko powiedzieć. W takich miejscach wszystko się rozmywa, rozpuszcza w ogólnej fajności.

Pierwsza warstwa tej matrioszki to czysta nowoczesność. Stal i szkło plus posypka z różnokolorowych neonów, logotypów i innego brandu.

Druga warstwa to wypełnienie – przestronne korytarze, ruchome schody, zimne światło, które bardzo chce być ciepłe.

Trzecia warstwa to wypełnienie wypełnienia, czyli konsumpcja właściwa. Sklepy, sklepiki. Szpik kostny, ciało jamiste. Tłumy ludzkie napływają do nich jak gęsta, ciemna krew.

Przyznaję, że czasami fantazjuję o galeriach handlowych. Zwykle w kontekście apokalipsy. Świat się kończy, nigdzie już nie jest bezpiecznie, więc ostatnie niedobitki ludzkości barykadują się w galeriach. Oczywiście jestem pośród nich, tych wybrańców. Mi zawsze udaje się przetrwać. Apokalipsa wydobywa na wierzch wszystkie moje najlepsze cechy, te które z jakiegoś powodu nie chcą się ujawnić w życiu codziennym. Na tym właśnie polega magia postapo – każdemu dana jest druga szansa. I to już po końcu świata. Coś czego nie oferuje żadna religia.

Jest tylko jeden problem z tą fantazją. Skoro świat upadł, karty płatnicze nie działają, to w jaki sposób dostarczę mojemu mózgowi czystej, odzakupowej serotoniny? Jak zrobię zakupy jeśli wszystko jest moje?

A przecież właśnie to mnie tu przyciąga. Za każdym razem.

A to podręcznik do nauki kolejnego wymierającego języka, a to maska smutnego zwierzęcia na imprezę w pracy. Nigdy też nie przepuszczę okazji, by nie wziąć sobie czegoś ładnego do ubrania.

Dzisiaj jest jednak inaczej. Dziś naprawdę muszę coś kupić.

Tylko konkretne, potrzebne rzeczy.

Mówię tak, jakby tamte nie były. A przecież wcześniej, w określonym punkcie czasu, wydawały mi się najpotrzebniejsze na świecie.

Może teraz jest tak samo i mój umysł tylko wkręca mi, że chcę coś kupić? Że mam taką potrzebę? Może moje myśli w ogóle nie są moimi myślami?

Stoję w wejściu do galerii i po raz drugi tego dnia oblewam się zimnym potem.

Nie, to nieprawda. Zanim popadam w kolejną paranoję, przypominam sobie czemu tu przyszedłem. Projekt „Sprzątanie". Urlop. Wypełnianie czasu. Chaos to porządek. Te hasła wybuchają w mojej głowie jak fajerwerki.

Nie, mój umysł z pewnością nie próbuje nakłonić mnie do kupna płynu ULTREX 2000. Nawet on musi sobie zdawać sprawę, że serotoninowa nagroda za taki zakup nie byłaby zbyt wygórowana.

Aby dotrzeć do rzeczonego płynu muszę przejść niemal całą galerię. Poziom minus 7, a więc droga prowadzi w dół i w dół. A właściwie to w dół, w dół, w dół, w dół, w dół,
w dół, a potem znowu w dół. I jesteś.

Tak się teraz buduje galerie – nie do góry i wszerz, jak kiedyś, ale właśnie w głąb ziemi. Coś jakby metro, tyle że nigdzie się nim nie dojedzie. Trochę to przerażające.

Z drugiej strony, jaka różnica? Przecież w galeriach i tak niema okien. Wszystko po to, żeby stracić poczucie czasu, zapomnieć o dzikim świecie na zewnątrz. Podczas gdy tu wszystko jest jakby odrobinę boskie, nieśmiertelne.

Tego właśnie staram się dziś uniknąć. Nieśmiertelności. Idę naprzód bez oglądania się na boki, na wystawy. Ręce sztywno wzdłuż ciała, nogi blisko siebie. Muszę wyglądać komicznie. Mam nadzieję, że nikt mnie nie rozpozna, nie zrobi głupiego zdjęcia.

Jedne ruchome schody, drugie, trzecie. Na schodach ludzie. W większości nastolatki. Czy nie powinny być teraz w szkole? Jest w końcu środek dnia – to odzywa się we mnie troskliwy ojciec, którym prawdopodobnie nigdy nie będę.

Te wyzywające, jakby wygłodniałe spojrzenia. Jaskrawe stroje. Przypominają mi jakieś zwierzęta, ale nie mogę sobie przypomnieć jakie konkretnie. Kiedy ich mijam wybuchają histerycznym śmiechem.

Cyk, kolejne schody się kończą i ląduję na piętrze minus 2.

Jest to właściwie piętro minus 1 wzbogacone o działy męskie i dziecięce sklepów odzieżowych. Nic szczególnego.

Cyk, piętro minus 3.

Mam wrażenie, że ochroniarz chce do mnie podejść i coś powiedzieć. Mężczyzna w sile wieku, wąsaty kwiat tego narodu, z którym przyszło mi dzielić krew. W ostatniej chwili przechodzi tuż obok, prawie że trąca naramiennikiem mój nos, i znika w tłumie. Ruszam w przeciwnym kierunku.

Cyk, piętro minus 4.

Wyraźna zmiana ciśnienia. Coś strzela mi w uszach, trochę jak popcorn. Nieprzyjemnie.

Cyk, jestem na minus 5.

Usługi gastronomiczne.

Moje ślinianki reagują niemal natychmiast – zapach smażeniny wyciska z nich chyba z litr śliny. W ostatniej chwili zaciskam dłonie na ustach, nie pozwalam wylać się cieczy. Wytrzeszczonymi z wysiłku oczami szukam kolejnych schodów.

Są. Cyk.

To trochę tak jakby puścić pawia bez otwierania ust. Zamknąć go w sobie, niczym najcenniejsze wspomnienie, a potem znaleźć bezpieczne miejsce rozładunku. Zwykle trzeba to zrobić szybko, zanim przyjdzie następna fala. Inaczej można się zakrztusić, albo nawet umrzeć.

Cyk, cyk.

Mam w tym doświadczenie. Rzygałem wsobnie na niejednej imprezie. Czasem bez mrugnięcia okiem, ani użycia dłoni. Jak iluzjonista. Rozmawiając z ważnymi ludźmi, pochylając się nad biustami. Gdzie mnie tylko dopadło. Ładowałem kontener, po czym wychodziłem do łazienki, albo w inne ustronne miejsce. Minuta i byłem z powrotem. Uśmiechnięty, czarujący. I tak kilka razy jednego wieczoru. Dzięki tej prostej sztuczce mogłem pić do rana, zachowując przy tym twarz w miarę kulturalnego człowieka. A przynajmniej nikogo nie obrzygać, co, umówmy się, jest warunkiem jako takiego funkcjonowania w społecznościach ludzkich.

Cyk.

Od tych całych narkotyków mam dość słaby żołądek. Tak słaby, że jak mnie przyciśnie to niema przeproś. Tym razem jednak udaje mi się nawet bez rozładunku. Po prostu przełykam całą zgromadzoną ciecz, raz a solidnie. W końcu to tylko ślina. Z rzygami taka rzecz raczej by nie przeszła.

Chyba było je słychać, to moje mocarne przełknięcie, bo ludzie na schodach rzucają mi dziwne spojrzenia. Obcinają się na mnie, krótko mówiąc.

Cyk, piętro minus 7.

Dotarłem.

Niżej jest tylko parking podziemny, a kawałek dalej jądro Ziemi.

Przede mną kasy supermarketu, wszystkie samoobsługowe, co już w sumie nikogo nie dziwi. Lista niebyłych zawodów powiększa się z dnia na dzień. Według specjalistów tak zwane „twórcze profesje" są bezpieczne. Chciałbym tylko wiedzieć jak bardzo trzeba być twórczym, żeby się załapać.

Jestem już między półkami, trochę się gubię, bo dawno mnie tu nie było. Możliwe nawet, że n i g d y. Układ działów wyraźnie na to wskazuje. Są w zupełnie innych miejscach, niż te w markecie z mojej pamięci. Czy to nie przypadkiem jakiś nowy sklep, po inwentaryzacji, albo innym rebrandingu? Niczego nie poznaję. Tam gdzie powinna być

chemia jest nabiał, a na miejscu pieczywa rozpanoszyły się telewizory i kina domowe wielkości średniowiecznych katedr.

Oczywiście nie zapytam nikogo o drogę, bo jestem dzikusem. Wreszcie udaje mi się jakoś zorientować, rozstawić wewnętrzne drogowskazy. Przechodzę dwie przecznice półek i skręcam w prawo, a potem w lewo. Oto są – ciągną się rzędami, każdy o innym kolorze i kształcie, jak jakaś popieprzona artystyczna instalacja. Płyny do kurzy. Mleczka. Spreje. Środki. A pośród nich Ultrex 2000: klasyczna forma walca, prosty i wygodny dozownik, dębowy kolor opakowania. Dobrze leży w dłoni, nie męczy palca przy naciskaniu. Na inne nawet nie patrzę, wrzucam dwa do koszyka i zawracam.

Przychodzi mi do głowy, że może powinienem kupić coś jeszcze. Że to głupie przebyć taki kawał drogi, tylko po jedną rzecz. Poza tym tak rzadko tu bywam, że trzeba to jakoś uczcić. Chwytam więc skitelsy przy kasie i coś tam jeszcze, po czym zaczynam kasować. Chcę wyjść, muszę wyjść jak najszybciej – te tłumy wokół źle na mnie działają. Pocą mi się od nich dłonie.

Wychodząc zdaję sobie sprawę, że obok schodów ruchomych znajduje się superszybka, ultranowoczesna winda, którą można dotrzeć na górę w kilka sekund. Przez chwilę próbuję zrozumieć dlaczego nie jechałem nią też w dół, nadać jakiś symboliczny sens mojej krzyżowej drodze po schodach, cokolwiek, ale mi się nie udaje.

Kiedy winda rusza, świetlista linia kas rozmywa się i znika w ułamku sekundy. Razem z nią znikają też ludzie. Pruję do góry w totalnej ciszy.

O nie, zaczyna się. Wspomnienia, flashbacki. Co za sztampa..

Ja i Olga. W każde wakacje, gdziekolwiek byśmy nie pojechali, zawsze kończyliśmy w galerii handlowej, albo czymś takim. Jakby pchała nas tam jakaś nieznana siła, cichy szept kapitalizmu, podprogowe kodowanie z filmów Disneya, które przedawkowaliśmy w dzieciństwie.

Afryka, Europa, raz nawet Stany. Egzotyka all inclusive albo coś bardziej swojskiego. Brna, Talliny, talony. Wszędzie udawało nam się znaleźć jakąś namiastkę galerii.

Często w lokalnej bieda wersji. Z poczerniałymi od słońca plakatami reklamowymi, łuszczącą się farbą. To był nasz obowiązkowy punkt programu. Nie zabytki, czy miejscowa kuchnia, ale właśnie galerie. W galerianych marketach kupowaliśmy lokalną ceramikę i inne pamiątki, bo były dużo tańsze, niż na straganach. No i nie trzeba było wchodzić w interakcje z ludźmi, targować się itp.

Jadaliśmy tam obiady takie same jak w domu, kupowaliśmy ciuchy takie same jak w domu, tylko trochę tańsze, piliśmy kawę taką samą jak w domu. W końcu targani wyrzutami sumienia biegliśmy na plażę, albo zobaczyć jakiś zameczek. Wrzucić zdjęcie na feja, podłubać sobie palcem w pępku.

Słabi z nas byli podróżnicy. Nawet turyści żadni. Tak naprawdę baliśmy się świata zewnętrznego. Szczególnie ja. Ale jeździliśmy i to nawet sporo. Bo przecież coś trzeba było robić z urlopami, jakoś odreagowywać.

Olga twierdziła, że urlop w Polsce to nie prawdziwy urlop. Nieważne jak wyszukany. Po prostu nie. Dla niej można było odpocząć tylko za granicą.

Należała do osób, które mylą biedę z minimalizmem. Miała do tego prawo, jako projektantka wnętrz.

Nasz upadek zaczął się właśnie w czasie jednego z wyjazdów. (Tutaj powinna polecieć płyta Sons of Kemet Your Queen Is A Reptile). Kapsztad, środek nocy. Wytaczamy się z klubu na rozgrzaną jak blacha ulicę.. I już. Są tutaj. Idą na nas. Nazwijmy ich „wyrostkami". Jest ich trzech, ale otaczają nas jakby w dziesięciu. Chcą czegoś, domagają się. Ani słowa po angielsku. Szarpią. Najpierw Olgę, potem mnie. Ze zdenerwowania nawijam do nich coś po polsku. Jakby byli dresami na mojej starej dzielni. Tylko że dresy nigdy mnie nie napadły. Mówię do nich, szarpię się. Potem nasłuchuję, zamieniam cały w słuch, czy nie wracają. Cisza.

Jakiś tydzień po powrocie do kraju, Olga, myjąc zęby, stwierdza że „nie poszarpałem się z nimi dość zdecydowanie". Olewam to, a jakże. Prasuję właśnie koszulę do pracy.

Kilka dni później jesteśmy już na etapie „Nie czuję się przy tobie bezpieczna".

Wszystko mogłoby się potoczyć inaczej, gdybym tamtego dnia coś zarzucił. Ale nie, akurat wtedy, po tygodniowym lekowym maratonie w pieprzonej Republice Środkowej Afryki, odbycie wszechświata, postanowiłem zrobić sobie przerwę. Właśnie wtedy, gdy zdecydowaliśmy się wreszcie gdzieś wyjść i nasz wybór padł na klub elektro nieopodal.

Poprzedni tydzień spędziliśmy w hotelu, racząc się klonazepamem i nielimitowanym alkoholem przy basenie. Chyba nawet nie uprawialiśmy seksu, choć po benzosach robię się zwykle strasznie napalony. Mniejsza o to. Rano Olga przypełzła do mnie z końca ogromnego łóżka i podała mi na dłoni kilka tabletek. A ja, z jakiegoś znanego tylko sobie powodu, odrzuciłem jej ufnie wyciągniętą dłoń.

Coś takiego zdarzyło mi się pierwszy raz odkąd opuściłem wody płodowe mojej szalonej matki.

Potem był klub, a po klubie napad. No i moje „niezdecydowanie", jak to określiła Olga. Ogólne rozedrganie. Założę się, że zabrakło mi akurat tyle zdecydowania, ile zawsze dawały mi klony. Nie mniej i nie więcej. Równo tyle.

Olga natomiast, moja kochana, dobra Olga, nie żałowała sobie niczego. Całą noc łoiła za nas oboje. Najpierw klony w hotelu, a potem coś ożywczego w klubie. Sprzedawał jej to taki miły czarnoskóry chłopaczek. Nie wiem co to było. Jakiś lokalny specyfik. Pachniał mazutem.

Chłopak nie odstępował na krok od naszego stolika. Cały czas patrzył na śmiejącą się Olgę. Na Olgę pijącą. Na Olgę tańczącą. Na Olgę nawijającą coś bez przerwy. Na Olgę zamyśloną. Chyba się w niej zakochał. Nie dziwię się mu.

To był, tak jak powiedziałem, początek upadku. Naszego upadku. Ale ja sam, ja-Feliks, zacząłem odmawiać coraz częściej.

Winda zatrzymuje się bez dźwięku i ja też już nie mam w sobie dźwięków. Ani obrazów. Ani wspomnień. Niczego. Jestem całkowicie wyczyszczony. Otwierają się drzwi.

Piętro 0.

Ten stan rzeczy potrwa pewnie do końca sprzątania. Potem będzie trzeba coś znowu wymyślić.

Barbara Sadurska

Prawniczka, pisarka. Debiutowała zbiorem opowiadań „Mapa” (Nisza 2019), za który otrzymała Nagrodę im. W. Gombrowicza. Publikowała w Wizjach, Twórczości, Piśmie, Znaku, Vogue, Kontencie. W przygotowaniu jej kolejna książka pt. „Czarny Hetman”.

Mrówki

Pewnego dnia mogą pojawić się mrówki. Najpierw jest ich kilka, są rozproszone, prawie niezauważalne. Przychodzą nie wiadomo skąd, zmierzają donikąd. Nieszkodliwe, niezainteresowane ani tobą, ani twoim domem.

Latem budzisz się wcześniej, idziesz do kuchni, żeby napić się wody albo zrobić herbatę i wtedy po raz pierwszy widzisz długi czarny rządek na blacie. Strzepujesz pierwsze osobniki suchą ściereczką, a wtedy pozostałe momentalnie pierzchają. Robisz sobie tę kawę czy herbatę i wracasz spokojnie do sypialni.

Ale wieczorem, po powrocie z magistratu zauważasz, że mrówek jest więcej. Ustawiają się w kolejki jak petenci w urzędzie. Maszerują noga za nogą po podłodze, po blacie, do szafki z chlebem i dalej, do noża, który rano został w zlewie. Nóż był z miodu i teraz
w zlewie jest aż czarno od mrówek. Te, które weszły, nie mogą wyjść, a cały czas nadchodzą następne. Odkręcasz więc zimną wodę i spłukujesz całe towarzystwo do odpływu. Widok znikających w wirze czarnych kropek przypomina korytarz przed twoim gabinetem, ale jest bez porównania bardziej przerażający. Pozostałe mrówki zdążyły się schować, jednak świadomość ich obecności już cię nie opuszcza.

Najpierw próbujesz wziąć je głodem. Żadnych noży w zlewie, niedokręconych słoików z miodem, owoce chowasz do lodówki. Okruszki spuszczasz w toalecie. One zdają się być na to obojętne.

Obserwujesz ich przyzwyczajenia. Mrówki nadchodzą falami od strony balkonu i znikają w szparach przypodłogowych. Prawdopodobnie są wszystkożerne.

Pytasz sąsiadów, jak je zwalczają, ale oni wykazują daleko idącą niefrasobliwość. Zostajesz sam na placu boju.

Próbujesz odstraszać mrówki zapachem czosnku i pieprzu, ale mrówki nic sobie z tego nie robią. Podrzucasz im więc truciznę, aby zaniosły ją do gniazda i tam wszystkie wymarły. Na nic. Nie są zainteresowane trucizną.

Coraz więcej czytasz na temat mrówek. Są zabójczo inteligentne, doskonale zorganizowane. Wypracowały własne, niezawodne sposoby komunikowania się. Morderczo pracowite. Dostosowane do wszystkich warunków życia na ziemi. Są wszędzie. Nigdzie nie jest napisane, że są groźne lub niebezpieczne. Wręcz przeciwnie. Myrmekolodzy dostrzegają wyłącznie ich pozytywne działanie. Nawet jadowite i złośliwe są przez nich traktowane pobłażliwie. Ci szaleni naukowcy widzą same korzyści z obecności mrówek. Jakże się mylą! Zdaje się, że tylko ty masz świadomość, że mrówki chcą zniszczyć twoje życie. Dążą do panowania nad światem. Są wszędzie i nie sposób się ich pozbyć.

Bierzesz wolne z pracy, aby się nimi zająć.

Podejmujesz nierówną walkę, ale jest ich coraz więcej. Nie pomaga zgarnianie ich mokrą gąbką. Nie ma tak wielkiej gąbki.

Z zainteresowaniem patrzysz na ich trasy ucieczki, metody przetrwania, miejsca ukrycia. Rzeczywiście, są dobrze zorganizowane i mają wewnętrzny sposób komunikowania. Można użyć przeciwko nim wody, ale aby ostatecznie się ich pozbyć, należałoby zatopić świat.

Kiedy pozbywasz się ich w jednym miejscu, w drugim natychmiast przeprowadzana jest ewakuacja. A już szczyt osiągają przy likwidacji jaj. Pod progiem odkrywasz białą górę złożoną z półprzeźroczystych jajek wielkości ziarna ryżu. Zanim zorientujesz się, co to jest, już ich nie będzie. Znikną pod podłogą. Teraz wylęgną się z nich miliony małych, czarnych, latających mróweczek. Nie pomaga machanie rękami i odganianie ich sprzed twarzy. Atakują cię ze wszystkich stron, już nic się przed nimi nie ukryje.

Topienie latających mrówek nie wchodzi w grę, są wszędzie. Widzisz je na firankach, na framugach drzwi, na ścianach. Rozważasz użycie miotacza ognia. Robisz go z dezodorantu i zapalniczki. Nie porzucasz tego pomysłu nawet w obliczu pożaru, nawet za cenę życia.

Sąsiedzi nadal nic nie wiedzą o zagrożeniu.

Ewa Schilling

Debiutowała w 1998 roku zbiorem opowiadań „Lustro”. Następnie wydała powieści „Akacja” i ‘Głupiec” oraz następny tom krótkiej prozy pt. „Codzienność”. Współpracowała m.in. z taki czasopismami, jak „Borussia”, „Portret”, Pogranicza” czy"Opcje". Najnowsza książka — dystopia o Polsce „Nadfiolet" ukazała się w roku 2020. W 2019 r. pisarka założyła wydawnictwo Seqoja.

Deszcz ze śniegiem

Zwiędłe liście i odbicia świątecznych dekoracji przyklejały mu się do butów. Od czasu do czasu unosił głowę i rozglądał się. Na widok skupiska wysokich bloków wyprostował się, spojrzał na zabezpieczoną foliowym woreczkiem kartkę i przyspieszył kroku. Deszcz, zmierzch, zamknięty sklep. Minął parking, znów zwolnił, znów wyciągnął karteczkę, mrużąc oczy, przeszukiwał zapłakane napisy na blokach. Woda ciurkała, spływając z urządzeń na placu zabaw; kaptur był tak mokry, że przylegał szczelnie do głowy.

Prawie biegł do bloku za placem zabaw obstawionego samochodami o rejestracjach z różnych krajów; przez kolorowe rolety sączyło się światło, na jednym z obwieszonych lampkami balkonów zastygł mikołaj z workiem, jakby czekał na policję.

Prychnął i nacisnął guzik domofonu. Potem kilka innych. Zapiszczało. Wszedł i z obrzydzeniem zdjął kaptur. Przy windzie świeciła się dziesiątka, ale kiedy wdusił przycisk, nie usłyszał maszynerii. Zaczekał minutę, westchnął i z ręką na poręczy ruszył po schodach. Na szczęście to tylko czwarte piętro.

Kolejny raz spojrzał na karteczkę, wyjął ją z folii i przestudiował niczym zabytkowy papirus. Dzwonka nie było, sterczały druty. Zapukał, średnio głośno, dwa razy, po namyśle trzeci. Szuranie. Wyraźne dźwięki. Pauza. Drzwi otworzyły się z taką niechęcią, jakby zakłócił im sen. Ponad łańcuchem ujrzał twarz kobiety. Pomyłka? Nie. Ten człowiek musiał tu mieszkać, po prostu musiał. Ten, który dał mu adres, był w porządku.

Odsunęła łańcuch dalej. Wysoka kobieta, w jasnym swetrze i dżinsach, nie potrafił powiedzieć, skąd pochodziła, ale chyba daleko od niego. Patrzyła na niego z pogardą, niepokojem i gniewem — tak to zobaczył.

Nic nie mówiła. Pokazał jej kartkę. Wzruszyła ramionami.

— Mieszka tu? — zapytał po angielsku.

— Może mieszkał — odparła także po angielsku, twardo, ale poprawnie. — Nie wiem. Ja tu jestem dopiero od tygodnia.

Poczuł, że deszcz po nim spływa. Kapało z kurtki, z włosów, z plecaka, z nogawek spodni. Czuł się tak, jakby nic go nie chroniło, a deszcz spływał z sufitu. Oparł się o ścianę, nie zasłabł, ale potrzebował oparcia, czegoś pewnego, choćby i ściany.

Usłyszał chrząknięcie. Podniósł głowę. Zdjęła łańcuch i wykonała gest lewą ręką. Zapraszała go do środka. Pierwszą rzeczą, jaką dostrzegł za progiem, była jej prawa dłoń trzymająca nóż do mięsa. Nie powinien się dziwić. Sam by pewnie też tak zrobił na jej miejscu.

Stał tuż za progiem, niepewny, co może z siebie zdjąć, żeby nie zalać mieszkania. I jej nie przestraszyć.

— Kurtka i buty. — Wybawiła go z kłopotu.

Kurtkę powiesiła w łazience, zostawiła drzwi otwarte. Odwróciła się tylko bokiem na pół sekundy, kiedy sięgała po wieszak. Buty kazała mu postawić w pokoju pod kaloryferem, obok innych, dużych i małych, schnących na rozłożonej gazecie. Zdjął też mokre skarpetki i założył suche z plecaka. Pokój był spory, na środku stół, fotel i krzesło. W rogu łóżko z dwójką trzy-, czteroletnich dzieci, które spały poprzytulane do misia i zająca. Uznał, że to dziewczynka i chłopiec.

Wskazała mu krzesło, ale było za małe dla niego. Odsunął je delikatnie i usiadł na dywanie, krzyżując nogi. Zaczynał mieć dreszcze. Sweter też był wilgotny.

— Mogę? — zapytał i kiedy skinęła głową, szybko go zdjął. Pod spodem miał swoją ulubioną czerwoną koszulkę. Nie zamierzał eksponować ani mięśni, ani blizn, poza tym było mu chłodno; z ulgą i wdzięcznością przyjął polarowy koc, który mu rzuciła. Spodnie też przemokły, ale były dobrej jakości, szybko schły.

— Thank you — wydusił, szczękając zębami, i owinął się materiałem jak chustą.

— Głodny? — spytała.

Błysnął tylko oczami i już szła do kuchni, znów zerkając na niego przez otwarte drzwi. Mieszała coś w garnku lewą ręką. Słyszał też podskakiwanie czajnika. Dostał miskę ryżu z łyżką wetkniętą w parującą masę. Ryż z warzywami i ostrymi przyprawami. Szklanka wody. Kubek herbaty. Usiłował gryźć to, co wkładał do ust. Rozgrzał się. Kiedy

spłukał papryczki wodą, mógł trzymać w dłoniach kubek i czekać niespiesznie, aż wrzątek nieco ostygnie. Drobne łyki, jeden i drugi. Za oknem zamiast deszczu padał śnieg. Dziecko poruszyło się, przycisnęło zająca mocniej. Kobieta usiadła w fotelu, prawa ręka zwisała luźno, nóż drgał jakby w takt melodii.

— Masz stały pobyt? — Założyła nogę na nogę, rozluźniona w porównaniu do sytuacji sprzed kwadransa.

— Nie. A ty?

— Tolerowany. Od miesiąca — powiedziała to ze zmęczeniem, które sam dobrze znał. Aż miał ochotę pocieszyć ją, powiedzieć coś w rodzaju: „To najgorsze już za tobą", ale czuł, że nie powinien.

— Co tam u ciebie było? — ciągnęła. Odważył się objąć ją uważniej spojrzeniem. Młoda, ale nie ma dwudziestu lat; może jest w jego wieku? W oczach odnalazł ogniki wskazujące na to, że mimo zmęczenia nie daje za wygraną.

— Wojna, a potem głód — wyjaśnił. — A u ciebie?

— Głód, a potem wojna — odparła. Zacisnęła palce na nożu. Śnieg uderzał w okna. Mógłby zasnąć, gdyby się zapatrzył te płatki uciekające, wpadające na siebie, gnane wiatrem.

— Mogę coś zrobić? — zapytał, prostując ramiona.

— Pozmywaj naczynia. Cały dzień stałam na nogach.

Odruchowo spojrzał na dzieci. Zostawały same?

— To koleżanki, pracuje na nocną zmianę — powiedziała, jakby usłyszała jego myśli.

Zabrał się do zmywania. Kilka talerzy, kilka kubków, dwa garnki i patelnia. Skubnął jeszcze resztki ryżu przyklejone do dna. Po namyśle umył też zlew, wycisnął zmywak, wytarł ręce w ścierkę. Powinna być zadowolona. Usiadł z powrotem. Dopijał herbatę. Ona, zamyślona, patrzyła już nie na niego, tylko w śnieg. Kiedy nagle przeniosła

wzrok na jego twarz, uśmiechnął się. Odpowiedziała uśmiechem po długiej chwili, jakby sygnały między nimi ulegały opóźnieniu. Jak w książce o statkach kosmicznych.

Właśnie miał zapytać, jak jej na imię, kiedy rozległo się pospieszne, nerwowe pukanie do drzwi.

Zerwali się oboje, gotowi bronić siebie i dzieci. Zauważyli jednak, że to tylko pukanie, niezbyt mocne, nie przechodzi w walenie pięściami, nie słychać też męskich głosów. Opuściła nóż.

Mimo to podeszli do drzwi we dwójkę. Otworzyła drzwi na łańcuchu. Drobna, siwiejąca kobieta z obdrapaną walizką na kółkach. Z obłędem w oczach.

— Córka moja tam mieszka — odezwała się od razu. Z ulgą stwierdził, że ją rozumie, chociaż mówiła z akcentem ludzi, którzy przyjeżdżali tu zza wschodniej granicy. Tam też gdzieś była wojna. Przypuszczał, że angielskiego nie znała w ogóle.

Pokazywała mieszkanie naprzeciwko. Wycieraczka leżała odkopana na środek korytarza.

— Moja córka. Ja do niej przyjechałam na święta. Czekała na mnie. Nie otwiera. Państwo coś wiedzą? Proszę, bardzo proszę…

Kobieta u jego boku wyglądała na zakłopotaną. Nie, to nie to. Było jej przykro, miała złą nowinę.

— Kiedy wracałam do domu — starała się mówić wyraźnie, nie czuła się w tym języku swobodnie — widziałam, jak pogotowie zabiera na noszach młodą kobietę. Blondynkę z długimi włosami. Czy to ona?

Kobieta osłupiała.

— O Boże. Gdzie ona teraz jest? To pewnie serce, z przepracowania… — Potknęła się o własną walizkę.

Ona złapała tę walizkę lewą ręką, a że nie miała trzeciej, to on delikatnie dotknął ramienia starej kobiety i podtrzymywał ją, kiedy wchodzili do środka. Posadzili ją w fotelu. Nóż wrócił do kuchni. Zjawiła się komórka.

— Podzwonimy po szpitalach — powiedziała łagodnie. — Poda pani imię i nazwisko. Zadzwonimy. Wszystkiego się dowiemy.

Stara kobieta rozglądała się dookoła, przesunęła ręką po twarzy.

— Tak? Bardzo państwu dziękuję i przepraszam. To pani mąż? — spytała, kiedy zauważyła dzieci.

— Brat.

— Ja też miałam dwójkę — ściszyła głos, bo jedno z dzieci drgnęło — ale potem…

Kichnęła i zatrzęsła się.

— Proszę, pani zdejmie buty — poprosił, widząc, że są w gorszym stanie niż jego. Oblepiał je topniejący śnieg i wydawało mu się, że rozłażą się szwy przy podeszwie.

Nie zareagowała.

— Mamo, zdejmij buty, bo zachorujesz. — Sam nie wiedział, co go podkusiło, żeby to powiedzieć.

Odgadł jej spojrzenie, znalazł przy kaloryferze kapcie, podsunął.

— Mamo — powiedziała z naciskiem.

Stara kobieta ożywiła się.

— No już, moje dzieci, no już. — I zaczęła się szarpać z mokrymi sznurowadłami.

rozmowy na stronie

Michał Domagalski

Z obowiązku ojciec, z wyboru poeta, z przekonania prozaik. Czasami publicysta, sporadycznie nauczyciel. Autor *Poza sezonem* (nominacja do Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius oraz do Nagrody im. Kazimiery Iłłakowiczówny) oraz *za lasem/*. Publikował m. in. w „Przekroju", „Odrze", „Wyspie", „Kontencie", „Stonerze Polskim", „Afroncie". Były redaktor prowadzący portalu „Wywrota.pl".

Patrycja Sikora

Poetka, slamerka, redaktorka. Urodzona w Wieruszowie w 1989 roku. Finalistka projektu Biura Literackiego Połów 2018. Nominowana do Nagrody Głównej XXIV OKP im. J. Bierezina i 7. Konkursu Poetyckiego Fundacji „Duży Format". Za debiutancki tom „Instrukcja dla ludzi nie stąd" (WBPiCAK 2020) nominowana do „Paszportów" Polityki 2020. Wielokrotna laureatka slamów poetyckich. Publikowała m.in. w czasopismach „Kontent", „Dwutygodnik", „Czas Kultury", „Helikopter", „Mały Format", „Tlen Literacki", „Fabularie", „Drobiazgi", „Odra". Redaktorka kwartalnika literackiego „Strona Czynna", antologii wierszy „Jak długo będziemy musieli" i „Biji Rojava!". Tłumaczona na języki obce. Mieszka i pracuje w Poznaniu.

Udawajmy ptaki za lasem, neowieśniaku

Rozmowa Patrycji Sikory z Michałem Domagalskim

Teraz wszyscy jesteśmy wieśniakami lub bardzo chcemy nimi być. Być może wszyscy neowieśniakami. Michale, jakim wieśniakiem jesteś?

Mam wieś — pozwolę sobie sięgnąć po zużytą metaforę — we krwi. Moja mama wychowywała się w Chojnie, zgodnie z danymi z Wikipedii mieszka tam obecnie około dwustu osób. Kiedyś mogło być więcej, ale niewiele więcej. Dzięki pochodzeniu mamy poznałem wieś. Nie pozostawiła w mojej głowie obrazów idyllicznych. Dzieci może już nie leczyło się przy pomocy pieca i odmawiania zdrowasiek, jak w *Antku* Prusa, ale na cmentarzu w Iwanowicach — niedaleko Chojna — nagrobki dziecięce nie były wcale rzadkim widokiem. Po datach można wywnioskować, że żyją jeszcze ludzie pamiętający te rodzinne tragedie.

Wieś z dzieciństwa mojej mamy ma niewiele wspólnego z tą, na której mieszkam. Mama pamięta, jak odrabiała lekcje przy lampie naftowej — pewnie podobnej do tej, którą jej wnuk niedawno widział w muzeum rolnictwa. Te dwa wydarzenia dzieli trochę ponad pół wieku. I zderzenie ich ze sobą, choć to tylko skrót myślowy, nie jest bez znaczenia dla mojego bycia neowieśniakiem. Czy też bardziej postwieśniakiem. A może kiedyś historycy nazwą takich jak ja wieśniakiem przejściowym, czymś pomiędzy pokoleniem mojej mamy a mojego syna.

Ciekawe, że samo słowo *wieśniak* ma współcześnie nacechowanie pejoratywne. Wielu ludzi nadal uważa, że mieszkanie na wsi jest czymś gorszym. Wydaje im się, że jest jakieś centrum, w które dość wygodnie się wierzy. Towarzyszy temu przeświadczenie, że związane z tym centrum zwyczaje, zachowania, moralność są lepsze. I może dlatego ludzie przeprowadzający się na obrzeża udają *miastowych*. Może dlatego wielu z nich chce się nadal czuć związanych z Poznaniem, Wrocławiem, Warszawą. Przy spisie powszechnym zostałem zapytany, czy przeprowadzałem się niedawno do innej miejscowości. I trochę dziwne czułem się, że zaznaczyłem przeprowadzkę z Poznania na Zalasewo, ale z zupełnie innych powodów. Po prostu nie łączy mnie na razie żadna silna więź z obecnym miejscem zamieszkania. Inna sprawa, że nie czuję specjalnej przynależności do żadnej miejscowości. Nazwy i administracyjne zależności pewnie sprawdzają się organizacyjnie. I tyle. Czasami niepotrzebnie przypisujemy im jakieś inne znaczenia.

Tak więc pochodzenie czyni mnie postwieśniakiem, a miejsce zamieszkania neowieśniakiem. Szczególnie to drugie wydaje się jednak dość dynamicznym zjawiskiem. Nieokreślonym. Czuję się wieśniakiem nietypowym. Może dlatego, że przyjąłem na siebie *poślednią rolę kronikarza.* Ale takiego kronikarza, który czasami chciałby się poutożsamiać. Ta potrzeba jednak szybko mija. I dobrze.

Zalasewo zostało przeprojektowane. Zostało zawłaszczone. Stało się wsią i miastem jednocześnie. Jak cienka jest granica między wsią a miastem w kontekście Zalasewa?

Nie wiem, czy *zawłaszczone*. Może sprzedane. Kolejne pokolenia chyba nie okazały się zainteresowane uprawianiem tak zwanej ojcowizny, wybierając życie ze sprzedaży ziemi.

I tak z (zaokrąglając) 500 mieszkańców z końca XX wieku zrobiło się 6000 obecnie. Nadal jednak jesteśmy wsią, która z roku na rok pęcznieje intensywniej. Tymczasem mamy

w Polsce miasta, których ilość mieszkańców to niewiele ponad 2000. Granica między tymi słowami wydaje się więc dość niejasna. Nasze przyzwyczajenia językowe przestają działać. Może dlatego mało mieszkańców tych nowoczesnych wsi ma poczucie, że właśnie na wsi mieszka? W końcu sporo z nich pracuje nie w miejscu zamieszkania.

W wielu takich miejscowościach działają już szkoły, powstają galerie handlowe, restauracje, salony fryzjerskie i wiele innych. Coraz więcej ludzi pracuje t u t a j. To zresztą duża zmiana, którą obserwowałem jako mieszkaniec. Jej ślad widać w *za lasem/*. Wiele się zmieniło przez ostatnich pięć lat. I ciągle się zmiania. Dodatkowo proces, który próbuję opisać w *za lasem/*, obejmuje coraz to nowe obszary. Jadąc z Poznania, trafiasz na Zalasewo, ale kiedy wyjedziesz poza jego granice, znajdziesz się w podobnie organizowanych wioskach. Granica pomiędzy nimi jest tylko administracyjna. Podobnie między Poznaniem oraz Zalasewem. Dzieli nas — jak nazwa wskazuje — las, ale obecnie niezbyt duży. Do pracy — do Poznania — szybciej dojeżdżam, niż gdy mieszkałem na Łazarzu. Z tej perspektywy nie czuć specjalnie różnicy. O granicę natomiast zadbali zarządcy stolicy Wielkopolski, którzy na przykład — czyżby programowo? — nie robią ścieżek rowerowych na obrzeżach. Te zalasewskie urywają się równo z tabliczką głoszącą, że wjeżdżasz do Poznania. Tutaj już musisz walczyć o przestrzeń z samochodami. Myślę, że granica pomiędzy wsią a miastem w tym przypadku jest zatem wyłącznie siłą przyzwyczajeń i pewnych — może jednak powoli przestarzałych — przepisów.

„Choć mieszkamy na wsi, to staramy się udawać miastowych". I jak to udawanie wychodzi dzisiaj napływowym i po co?

Wychodzi przynajmniej tak dobrze, że kusi kolejnych do wybrania przetartej już drogi (śmiech). Wielu ludzi tak naprawdę pozostało w przyjętej formie. Przeprowadzili się tutaj z Poznania lub z innych dużych miast, w których mieszkali od urodzenia albo do których sami się przeprowadzili, to wyjeżdżając na studia, to za pracą. Tutaj nie spotkali żadnej nowej formy, bo na początku traktowali to jako tańszą i spokojniejszą alternatywę dla mieszkania w tak zwanym centrum. Z wsią nie czuli się związani. Do tego stopnia, że — na jednej z takich wsi, na szczęście nie na Zalasewie — zgłaszano na policję koguta, który pieje za wcześnie rano lub rolnika, który kosi zbożę zbyt późno. I do dzisiaj wielu tych ludzi udaje miastowych, dlatego że wiejscy nawet nie chcą być. A jeszcze nie wytworzyli sobie innej formy.

To udawanie jest o tyle ciekawe, że na razie widać, że właśnie udawaniem jest. Odwzorowywanie jakiegoś schematu to cecha wielu ludzi, nie tylko neowieśniaków, ale u nas to na razie mniej zróżnicowane. Takie przynajmniej wygląda to z mojego fotela. Z czego to wynika? Może po prostu ten fragment szeregowca z niewielkim ogródkiem przyciąga osoby o pewnym nastawieniu do świata? A może to ja widzę udawanie w czymś, czego sam nie umiem zaakceptować? Możliwe też, że szukamy sobie nowej formy. Nowocześni mieszkańcy wsi sobie szukają, bo ja to tylko obserwuję (śmiech).

„Grunt to bezpieczeństwo". Jak znaleźć bezpieczną przestrzeń w miejscu, w którym deweloperzy ciągle ugniatają glebę i czy to poszukiwanie nie staje się takim samym zawłaszczaniem?

To chyba historia naszego gatunku — zawłaszczać. Mamy wpisane to w najstarsze mity. Sami dajemy sobie prawo do posiadania. A jeśli czujemy, że to może nie wystarczyć, to stwarzamy sobie bóstwo, które nam to prawo nada. Udajemy, że coś jest nasze lub jakiejś grupy. Jeśli więc żyjące swobodnie zwierzęta wchodzą na pole, pozwalamy sobie je określić jako szkodniki. Podobnie niedawno reagowali mieszkańcy Zalasewa i innych okolicznych wsi na obecność wilków. Wmawiamy sobie, że coś jest nasze. Dzieje się tak wszędzie, gdzie pojawia się człowiek. Zalesianie nie są tutaj wyjątkiem. Wcześniej ktoś przywłaszczył sobie już ten grunt. Później go ktoś przejął, dostał. Obecnie ktoś go sprzedaje. Ktoś kupuje. Grunt, który daje pozory bezpieczeństwa. Kawałeczek ziemi niekiedy przykryty sztuczną trawą. Ja akurat nie posiadam żadnego gruntu. Nawet ogródka. Nie potrzebuję. Nie mam na to siły. Ten skrawek nie przyczyniłby do lepszego samopoczucia. Szczególnie, że musiałbym wziąć na niego kredyt. Byłby tylko pozorem, o który musiałbym zadbać. Może czasami pozory wystarczają, prawda?

Jakie jest Twoje „za lasem”?

W wielu aspektach podobne do innych miejsc w Polsce. Jeszcze trudno ocenić, czy różnice są w tym przypadku znaczące. Może okazać się, że, patrząc z Marsa, ważniejsze będą podobieństwa.

Czy chcesz zobaczyć to, na co przyjdzie nam patrzeć? Wiesz, czym to jest lub może być?

Nie wiem. Obawiam się, że dzisiejsze prorokowanie finalnie okaże się niczym rysunki z końca wieku XIX, na których ludzie próbowali wyobrazić sobie to, jak będzie wyglądał wiek XXI. Ostatecznie niczym filmy science fiction o przyszłości. Okazuje się, że rzeczywistość tworzy o wiele bardziej skomplikowane modele. I ta nieprzewidywalność może przerażać. To ona skrywa prawdziwe zagrożenie dla wcześniej wspomnianych pozorów bezpieczeństwa. I to nie tylko dla posiadaczy gruntu. Ta obawa przed zmianami jest widoczna. Ludzie zgadzają się na nowoczesny telewizor, ale wybierają dla swoich dzieci edukację z epoki, która w ogóle nie słyszała o telewizorach. To oczywiście uproszczenie, które jednak pokazuje, na jakie zmiany jesteśmy bardzo ogólnie gotowi, a czego nie potrafimy przyswoić.

Co nas czeka? Nie wiem. Czasami się tego boję, ale jednocześnie jestem ciekaw. Żyjemy w Polsce, stosunkowo bezpiecznej tak w czasie i przestrzeni, chociaż czuje się jakieś dziwne niepokoje. Co chwila musimy walczyć o swoje lub czyjeś prawa. I nie zawsze udaje się je wywalczyć. Tkwi w tym jakiś niepokój, niepewność. A do tego dochodzą takie sytuacje, jak te związane z pandemią. Niby prorokowaliśmy sobie to w postapokaliptycznych wizjach, ale i tak zostaliśmy zaskoczeni. Dopiero zobaczymy, na co jeszcze przyjdzie nam patrzeć.

Autorzy blurbów w Twojej książce to poeci m.in. antykapitalistyczni, więc ich głos na skrzydełku to z pewnością nie przypadek? Adam Kaczanowski określił „za lasem/” jako poezję praktyczną, bezpretensjonalną, piękną i dla wszystkich, bo jest o naszym życiu. Tomasz Bąk słusznie skonstatował, że każdy ma takie Paterson, na jakie zasłużył. Jakiego Paterson chciałeś?

To prawda, blurbistów wybrałem nieprzypadkowo. Bardzo się cieszę, że Tomek i Adam się zgodzili. Cenię sobie znajomość z nimi. Lubię czytać to, co piszą. Lubię też się z nimi spotykać. Napisali na skrzydełko teksty, z którymi bardzo się zżyłem. I z którymi *za lasem/* czuje się bardzo dobrze. Nie wyobrażam sobie właściwie obecnie tej książeczki bez

blurbów Tomka i Adama. Czy oczekiwałem od Zalasewa bycia jakimkolwiek Paterson? Chyba nie. Trafiłem tutaj przez przypadek. Miałem stąd blisko do pracy w Poznaniu, bliżej niż gdy mieszkałem w Poznaniu właśnie. Po narodzinach syna okazało się, że właściciel wynajmowanego przeze mnie i żonę mieszkania będzie musiał sam w nim zamieszkać.

Zaczęliśmy szukać czegoś innego, ale członkowie naszego prorodzinnego społeczeństwa niechętnie wynajmują mieszkania parze z dzieckiem. Trzeba było podjąć decyzję o kupnie mieszkania. Zalasewo było wówczas jeszcze bardzo tanie, a dla nas w sumie dość wygodne ze względu na lokalizację. Nie wiem, czy takiego miejsca chciałem, ale może faktycznie na takie zasłużyłem? Chociaż niczego szczególnego w życiu nie dokonałem, żeby sobie na cokolwiek zasłużyć. Jestem raczej człowiekiem niewyróżniającym się specjalnie. I może w sumie tak właściwie się specjalnie nie wyróżniamy, tutaj, za lasem.

Jakiego człowieka chciało Zalasewo i czy w ogóle? Uderzam w rozważania dotyczące nowego człowieka - zakredytowanego, pędzącego, technologicznego, który przedsiębierze. To nowy człowiek w starej wsi czy nowy człowiek w nowej wsi?

Zalasewo chyba nikogo nie chciało. Ci, którzy tutaj mieszkali, zdecydowali się na sprzedaż gruntu, a miejsce wydawało się dość atrakcyjne dla wielu ludzi, więc przenieśli się do oferowanych przez deweloperów domów i mieszkań. Nowy człowiek wolałby może zresztą nie spłacać kredytu, ale częstokroć wydaje się mu to łatwiejszym rozwiązaniem niż wynajem. Niektórzy przyzwyczaili się do tej formy i zdaje się, że na kredyt mają wszystko, co tylko na kredyt kupić można — domy, samochody, rowery, sprzęt kuchenny, telewizory i tak dalej. Czasami to nie wybór, co pewien narzucony schematem lub przystępniejsza droga.

Czy ten nowy człowiek pędzi? Czasami można odnieść wrażenie, że stoi. Powtarza dnie. Może ma mało czasu, ale to ze względu na rytm, w który wpadł. Chociaż pewnie wielu z nas współcześnie ma wrażenie, że z czymś jeszcze nie zdąży, że trzeba to lub tamto popchnąć do przodu. Że jeszcze jeden lub drugi projekt nie został skończony… Kolejny film, kolejne spotkanie, kolejna książka. To chyba cecha wielkich aglomeracji, a że wsie podmiejskie są ich częścią, to i tutaj czuje się ten zdyszany oddech. I żeby zdążyć, musimy coś w końcu przedsięwziąć. Nie chcemy zostać z tyłu w dziedzinach, którymi się zajmujemy. Ciekawe, czy przy tym wszystkim jesteśmy nowi, czy tylko sztafaż się zmienia? Czy tylko dekoracje są nowe, ale człowiek stary?

Ludzie nadal trzymają się wielu tradycyjnych formuł w życiu, chociaż może one wcale nie pasują do otoczenia. Tworzą monogamiczne związki, obchodzą święta, na drzwiach piszą K+M+B, w niedzielę jadają rosół. Można wymieniać kolejne elementy. Niektórzy oczywiście z tego się wydobywają, ale nie jest to łatwe. Tymczasem dekoracje autentycznie się zmieniają. Nowoczesne drogi, ścieżki rowerowe, sprzęty w domach i mieszk-

kaniach. Co jest istotniejsze? Sztafaż czy przestarzałe konwencje? Gorzej, że to i to stanowi tylko dekorację, pod którą coś powinno się skrywać. Czy się skrywa, to już zupełnie inna opowieść… Może opowie ją chłopiec, który z fascynacją robi zdjęcie rozjechanej przez samochód wiewiórce. Ciekawe, co będzie chciał uwiecznić na zdjęciach w przyszłości.

czynna.com